

Wies

Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - L I T E R A C K I

ok IV

Łódź, 30 listopada 1947 r.

Nr 46 (125)

Wiesław Jażdżyński

SPÓŁDZIELCZOŚĆ DAWNIEJ I DZIŚ

„Zostało już przyjęte i jest w trakcie realizacji, że ośrodkiem spółdzielczości wiejskiej w gminie powinna być Uniwersalna Spółdzielnia Gminna. Świadomość, że tak być powinno, docierała do ogółu z wielkimi trudnościami, napotykała na wiele oporów i straciliśmy w tej sprawie dużo czasu, nawet za dużo czasu. Ale to się już stało i nie odstate i dobrze jest, że pogład w tej sprawie został ustalony”.

(Z przemówienia Min. Przemysłu i Handlu Hilarego Minca, wygłoszonego na pierwszym posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej).

W spółdzielczym Klubie Dyskusyjnym zastanawiano się wiosną br. nad następującym zagadnieniem: jakie właściwie spółdzielnie organizować w gminie wiejskiej — specjalizacyjne, czy uniwersalne?

Przedstawiciele Związku Samopomocy Chłopskiej stanęli na stanowisku, że spółdzielczość na wsi powinna rozwijać się w kierunku łączenia poszczególnych funkcji gospodarczych w jednej Uniwersalnej Spółdzielni Z. S. Ch.

Inni dyskutanci, reprezentujący przeważnie Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem” popierali myśl tworzenia odrębnych spółdzielni dla rozmaitych czynności gospodarczych, podkreślając szczególnie znaczenie spółdzielni spożywców.

Przebieg dyskusji wskazuje, że zwycięstwo odniosła koncepcja uniwersalnej spółdzielni gminnej. Należy zatem przypuszczać, że w niedługim czasie każda gmina wiejska będzie posiadać spółdzielnię skupiającą produkcje gospodarstw wiejskich, zapewni jej należyty zbyć i dostarcze chłopom potrzebne artykuły gospodarcze.

Warto jednak przypomnieć sobie, do jakich tradycji nawiązały zwolennicy specjalizacyjnej przede wszystkim zaś spożywczej spółdzielczości i jaką to już inną tradycję spółdzielczą wznawia Związek Samopomocy Chłopskiej?

I. „DZIECKO ZŁYCH CZASÓW”

a) Z miłości do ludzi.

„Anglia, która na przełomie XVIII wieku odniosła zwycięstwo nad Francją — pisze prof. Szymański w skrypcie o spółdzielczości przeznaczonym dla Uniw. Łódzkiego — po raz drugi zwyciężała świat. Ludność jej z 6 milj. w r. 1760 wzrosła na 14 milj. w r. 1820 w tym samym czasie eksport wzrósł z 10 milionów funtów do 14 milj. ...W niewielkim mieście przemysłowym — według oświadczenia jednego z posłów do parlamentu angielskiego z roku 1841, 136 osób zarabiała tygodniowo 6 pensów (około 75 gr.), 200 osób — 10 pensów, 503 — 1 szyling (12 pensów), 855 — 1,5 szyl. i 1500 — 1 szyl. i 10 pensów. 516 osób nie miało łóżka wyłącznie do własnego użytku, 850 osób w ogóle nie miało łóżek, a 46 rodzin spało na barłogu. W Lyonie w r. 1834 zarobek dzienny tkacza wynosił przeciętnie 66 centów, kobiet pracujących zarobkowo — jeszcze mniej. Funt zaś chleba kosztował w tym czasie 15 centów, funt mięsa 50 centów. Mimo tak niskiego wynagrodzenia praca trwała do 14 godzin na dobę. Były jednak fabryki, w których pracowano do 18 godzin na dobę”.

„Spółdzielczość jest w ogóle dzieckiem złych czasów” — pisał St. Thugutt. Istotnie. Kiedy bowiem w 1848 roku 28 nędzarzy roczdelskich ruszyło ze swego kramiku spółdzielczego szukać sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, nowy kapitalistyczny ustroj gospodarczy osiągał właśnie klasyczną formę. Istniał już potrzebny kapitał, nowe rynki towarowe, zafatamata się dawna monopolistyczna organizacja produkcji i wymiany, szereg wynalazków technicznych przemieniło prymitywną manufakturę w nowoczesną fabrykę. Wzrastające szybko bogactwo magnatów przemysłowych pogłębiało różnice w dochodzie społecznym. W rezultacie powiększała

się nieustannie masa nędzarzy, których — nim staną się oni świadomą swych celów walczącą klasą robotniczą — nazywano ubogimi.

Tak ułożyły się dzieje, że w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy to zarysował się wyraźnie układ społeczny oparty o przewagę ekonomiczną klasy przemysłowej, nowoczesne techniczne środki produkcji — narzędzia rozumu — pozostały w rękach kapitalistów, zdegradowanym zaś gospodarczo warstwom społecznym zostawiono romantyczną wiarę w jakiś mglisty, nieokreślony, lepszy świat, który miał powstać z emocjonalnej postawy „małych ludzi” wobec narastającej nędzy i zła. Stoimy u podstaw ruchu spółdzielczego.

Miłość i ochrona małego człowieka są najistotniejszymi i najbardziej charakterystycznymi cechami spółdzielczości, zapewne dlatego, że ruch ten na wsi czy w mieście jest dzieckiem nędzy proletariatu. Ta miłość człowieka była tajemnicą potężnego rozrostu ruchu „Spółdzielczość to przede wszystkim ludzkie. Chcąc ją wzmocnić i zdźwignąć do wyższego poziomu trzeba wzmocnić i oczyścić charaktery jej członków” (St. Thugutt). „W przeobrażeniu moralnym człowieka na wolnego twórcę życia — widzi kooperatyzm swoje najważniejsze zadanie” (E. Abramowski).

Żatem u podstaw ruchu spółdzielczego stał człowiek jako problem moralny w pierwszym rzędzie.

Trzeba skończyć zapytać, na jakiej drodze widziano realizację owego „przeobrażenia moralnego człowieka wolnego twórcy życia”? Czy może przez zdecydowaną walkę z kapitalistycznym systemem gospodarczym, w którego założeniu leżała nierówność klasowa, narastanie bogactw z jednej i nędzy z drugiej strony?

Nie!

Streszczamy tu — cytując prof. E. Taylora — sformułowaną w latach 1880 — 1890 przez Aglika B. Pottera teorię najpowszechniejszej spółdzielni spożywczej. Wyznawcy tej teorii to: Szkoła Ekonomiczna prof. Gide’a we Francji, Müller w Szwajcarii, Wojciechowski, Abramowski, Milewski i Związek Gospodarczy „Społem” w Polsce.

„Obecny ustroj społeczny — pisał prof. Taylor — jest zorganizowany dla celów produkcji, a nie konsumpcji, czyli zysków indywidualnych, a nie potrzeb społecznych. Tymczasem celem gospodarstwa społecznego jest zaspokajanie potrzeb ludzkich, tj. konsumpcja. Interes spożywców reprezentuje interes całej ludzkości. Działalność gospodarstwa Stowarzyszeń Spożywczych nie zmierza do usunięcia jednego z najwybitniejszych objawów obecnego ustroju kapitalistycznego, instytucji pośrednictwa, lecz poddaje ją zasadniczej reformie ekonomicznej, wprowadzając do podziału zysków z niego zamiast obecnej zasady rozdziału wg kapitału włożonego w przedsiębiorstwo, zasadę podziału według stopnia korzystania z usług przedsiębiorstwa tj. zakupów. W ten sposób cały zysk z pośrednictwa po pokryciu kosztów nabycia, zmierzających, jak wiadomo, pod wpływem prawa podaży i popytu do granicy kosztów produkcji, przypada spożywców... Jak widziemy — pisze dalej prof. Taylor — kooperatyizm integralny przystosowuje się zupełnie do ram obecnego ustroju kapitalistycznego, tylko je rozsada, reformuje zasadniczo przez wprowadzenie nowych pierwiastków; nie znosi on wcale instytucji pracy najemnej, przeciwnie — rozszerza ją na wszystkie działy życia, zachowuje wytwórczość wolną, opartą na prawie popytu i podaży i nie wprowadza nowej miary wartości opartej na pracy... Nie występuje on przeciwko podziałowi dochodu społecznego między 3 czynniki produkcji: przyrodę, kapitał i pracę, lecz w ogóle przypadał całemu dochodowi społecznego produkcji”.

Cytowany powyżej prof. Taylor zakładał nawet konieczność istnienia systemu kapitalistycznego. Spółdzielczość — jego zdaniem — powinna mieć konkurenta w postaci prywatnych przedsiębiorców, z którymi mogła by ścierać się w wolnej konkurencji. Inaczej grozi jej zastój i możliwość nie dotrzymania kroku w rozwoju i doskonaleniu się.

Obraz podstawowej dla ruchu spółdzielczego kooperatywu spożywców uzupełnia fakt jej powszechności inaczej — jej wszechkласowy charakter. Spożywcą jest każdy czło-

wiek, a więc każdy mógłby być członkiem spółdzielni.

Konserwatywni urzędnicy i oficerowie, liberalni przedstawiciele profesji wyzwolonych, radykalnie usposobieni robotnicy, fabryczni ultramontańscy lub radykalni górnicy — oto grupy, które organizują się pod hasłem spółki spożywczej — pisał Ludwik Krzywicki („Stowarzyszenia Spożywcze” — 1903 r.).

Otrzymaliśmy przy pomocy jej twórców — obraz spółdzielni zrodzonej z miłości do „małego człowieka”, służącej jego „przeobrażeniu moralnemu na wolnego twórcę życia”. Spółdzielnia ta nie przeczy podstawowym założeniom kapitalizmu, ale nawet przeciwnie — uznaje konieczność jego istnienia i zaprasza do swych szeregów każdego konsumenta na zasadzie powszechności i dobrej woli.

Spółeczne konsekwencje tak pojętej teorii spółdzielczości nie dały długo na siebie czekać.

b) „Odrutka przeciwko wywrotowym prądom”

W odezwie wydanej z racji I-go Kongresu Międzynarodówki — czytamy: „Radzimy wstępować robotnikom do organizacji wywrotowych a nie spożywczych. Ostatnie naruszają tylko powierzchownie istniejącego systemu ekonomicznego, a pierwsze drugą jego podstawę”.

Robotnicza spółdzielczość wywrotowa, wywodząca się z ruchu tkaczy roczdelskich, organizowana we Francji przez Buchez’a i L. Blanca, w Niemczech przez Lassalle’a miała stanąć do walki z kapitalizmem o szczęśliwego człowieka. Związana ściśle z ruchem politycznym robotników nie zdołała, podobnie jak i oni, opanować, ani czynników produkcji, ani też rynku pracy.

Przez cały prawie w. XIX i XX, aż do ostatniej wojny światowej działały i rozwijały się przede wszystkim wszechkласowe spółdzielnie spożywców, związane z kapitalistyczną gospodarką i podpierające ją.

„Nadużywając pojęcia wszechkласowości spółdzielni — pisze St. Thugutt — szukając w nich wyrazu solidaryzmu społecznego usiłowałam używać spółdzielczości, jako odrutki przeciwko wywrotowym prądom”.

Spółdzielczość ta odcinała się wyraźnie od wszelkiego związku z ruchem politycznym. „Spółdzielczość — mówił Gide — nie wiąże się właściwie z żadną konstrukcją teoretyczną. Wychodzi z samego narodu jako próba samoobrony człowieka biednego w systemie kapitalistycznym... Polityka jest tylko przeszkodą na drodze spółdzielczości do nowego ustroju. Wszystko jedno, co i jak myślą chłopci i robotnicy. Zmienia się gospodarka — zmienia się samo wszystko dokoła. A gospodarka może się zmienić tylko sama, od wewnątrz”. I dalej: „Artykuł główny programu socjalistycznego, którym jest walka klas, nie może być wpisany do programu spółdzielczego dla tej oczywistej racji, że właśnie spożywcza nie reprezentuje żadnej klasy, ani żadnego stronnictwa, jądanie nie jest opinią”.

Nie inaczej uważał szwajcarski ideolog ruchu spółdzielczego — Hans Müller: „Zadanie, by spółdzielnice stowarzyszenia spożywców służyły jako oddziały pomocnicze proletariatu walce klasowej jest niemożliwe, a spełnienie tego zadania miałoby tylko ten skutek, że wywołało by rozdrobnienie ruchu spółdzielczego stowarzyszeń spożywczych, cofnięcie go o dziesiątki lat w tył i doprowadzenie go do całkowitej społecznej bezwładności”.

Tak pojętą ideologię spółdzielczości zatwierdziły prawnie rządy europejskich państw kapitalistycznych. Pierwsza w świecie angielska ustawa o spółdzielniach traktuje spółdzielczość, jako jeszcze jedną odmianę filantropii. Francuska ustawa kwalifikuje spółdzielczość jako ruch wyłącznie gospodarczy, unikając zreszcie dokładnego określenia jej cech. Praktycznie niemal każde zrzeszenie gospodarcze, do kartelu przemysłowego włącznie, mogło stanowić spółdzielnię.

W ten sposób 21.000 przedwojennych spółdzielni w Europie, wraz z 19 milionami członków poszło na kompromis z kapitalizmem.

Kongres Międzynarodowego Związku Spółdzielni odbyty w 1937 roku przyjął m. in. następujące zasady działania: 1) wolność i powszechność wstępowania, 2) neutralność po-

lityczna, 3) działalność wychowawczą (19 milionów spółdzielców!)

Na posiedzeniu polskiej Państwowej Rady Spółdzielczej przyznano prawo członkostwa i rewizji kupcom i przemysłowcom, dnia 30.3.1939 r. Od tej daty mogła spora część kapitalistycznych przedsiębiorców działać pod tęczowym sztandarem — tym samym, który miał skupić pokrzywdzonych przy rozdziale dochodu społecznego do walki z kapitalizmem.

Europejska, a również — i polska spółdzielczość nie była formą walki klasowej o sprawiedliwe rozprowadzanie dochodu społecznego.

Thugutt nie wyobrażał sobie zwycięstwa spółdzielczej sprawiedliwości bez pomocy politycznego ruchu robotników i związków zawodowych. „Walka klas — pisał — w najogólniejszym ujęciu jest niczym innym, jak walką o udział w dochodzie społecznym, oraz wpływy, znaczenie i stanowisko, jakie są z tym większym udziałem związane. Zaprzeczając istnieniu walki klas jest taką samą nie-dorzecznością, jak zaprzeczanie istnieniu wiatru, powstającego wskutek dążenia do wyrównania warstw chłodnych i ciepłych powietrza”.

Było to jednak mocno spóźnione wołanie. Wszechkласowa spółdzielnia, rewidowana przez kupców i przemysłowców nie mogła już uzyskać wpływu na stosunki produkcji, ani regulować choćby w znikomym procencie tragiczną sytuację na rynku zatrudnienia i płac. Zakładając jako podstawowy cel „działania” moralne przeobrażenie człowieka w wolnego twórcę życia osiągnie w wolnej konkurencji z prywatnymi przedsiębiorcami 2,7 proc. udziału w rozprowadzeniu dochodu społecznego w Polsce, na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Oto tragiczny bilans walki, którą prawie 100 lat temu zaczęli nędzarze roczdelscy. Z miłości do małego człowieka powstał ruch zaprzeczający właściwie jego dążeniom.

c) Kapitalizm dla mas.

W 7-ym numerze Spółdzielczego Przeglądu Naukowego z roku 1931 pisał St. Thugutt: „Istnieje wielki z dnia na dzień w niektórych krajach żywiołowo rosnący odłam ruchu spółdzielczego, który nie powinien, by odzwierciedlać antagonizm klasowego do kapitalizmu, bo w nim głęboko tkwi korzenie. Tym odłamem jest spółdzielczość rolnicza, której członkami są przeważnie posiadacze kapitału w postaci terenów rolnych, do których mówiąc nawiasem, namiętnie są przywiązani. Przeciwdziałanie ich kapitałowi było by przeciwstawieniem ich własnemu interesowi”.

Liczącą w niektórych krajach niż spożywcza spółdzielczość rolnicza nazywał St. Thugutt kapitalistyczną. Czy jednak się nie mylił? Dla sprawdzenia oddajemy głos jednemu z twórców rzemieślniczo-chłopskich spółdzielni kredytowych — Schulzemu, wójtowi z Dolitsch. Formułuje on zadanie spółdzielczości kredytowej w następujący sposób: ma ona na celu „zrównanie warstw słabych gospodarczy w ustroju kapitalistycznym ze stanowiskiem kapitalistów przez zrzeszenia, które dozwalały im na korzystanie z ułatwień i dogodności stojących do dyspozycji wielkich przedsiębiorców. Według programu tego ruchu kooperacja nie ma na celu zwalczania kapitalizmu, ale uczynienia go dostępnym dla szerokiego mas społeczeństwa, do czego daje możność otwartości ich dla wszystkich”.

Przedwojenne ustroje społeczno-gospodarcze przyjmowały chętnie aspirujące na kapitalistów spółdzielnie kredytowe.

Kiedy w roku 1870 udział rzemieślników wynosił w spółdzielniach Schulzego 38,4 proc., to w roku 1913 odsetek rzemieślników zmalał do 22,5 proc. Resztę stanowili w zdecydowanej większości przemysłowcy, kupcy, rentierzy i wolne zawody, oraz znikoma ilość robotników. Od roku 1880 spółdzielnie kredytowe tego typu rozwijały się, i na wsi, obejmując prawie wyłącznie zamożniejszych chłopów.

Jakże przebiegał proces awansowania w kapitalizmie?

Podstawą działalności stały się wyłącznie operacje pieniężne. Zabiegano o możliwie wysokie udziały, płacąc odpowiednio wysokie dywidendy. Oprocentowanie pożyczek, zgodnie ze stanowiskiem Schulzego wynosiło przecięt-

*) Artykuł W. Jażdżyńskiego został napisany przed obradami Zarządu Głównego Z. S. Ch. a więc wcześniej niż Min. Przemysłu i Handlu wygłosił przemówienie. — Red.

nie 14,3 proc. Nawet kiedy zmniejszono oprocentowanie pożyczek, uzyskiwana od wkładów dywidenda bynajmniej nie zmalała. — Pożyczki wynosiły przeciętnie 100.000 marek, nierzadko przekraczały sumę 500.000 mk. Za małe pożyczki uważano wynoszące 10.000 marek, wypłacane zresztą rzadko...

Przed wojną światową weszły w skład spółdzielni Schulzego i spółki akcyjne. Rozpoczął się proces przemiany spółdzielni kredytowych w kapitalistyczne spółki. W latach 1889—1910 220 spółdzielni kredytowych przemieniło się w spółdzielnie akcyjne. Prowadziły one, jak wszystkie inne, spekulacje finansowe i kapitalistyczne operacje na giełdzie.

Wzięliśmy tu za przykład drobno-mieszczańskie i wielko-chłopskie banki kredytowe. Wypada z kolei odwołać się do podobnych przykładów z terenu Polski.

Wielkopolski ruch spółdzielczy rozpoczynał rzemieślnicy już po roku 1848. Około roku 1860 założono „Towarzystwo pożyczkowe dla przemysłowców m. Poznania”. W 1871 roku działało w poznańskim już 18 spółek zarobkowych i gospodarczych centralizujących się finansowo w Banku Związku Spółek Zarobkowych. W latach 90-tych ub. stulecia kilka większych tego typu spółek: z Gniezna, Inowrocławia, Lubawy, Poznania i Żmłna wyselekcjonowało się, podobnie jak spółdzielnie kredytowe Schulzego na kapitalistyczne banki pożyczkowe.

Wielkopolskie spółki pożyczkowe, obejmujące początkowo tylko rzemieślników i drobnych przedsiębiorców, objęły już w drugiej połowie XIX w. — wieś.

Charakteryzując działalność ruchu spółdzielczo-kredytowego Polaków w Wielkopolsce pisze dr. Ewart w książeczce pt.: „Das polnische Genossenschaftswesen in der Provinz Posen”; „Świadomość interesu narodowego uchroniła spółki polskie od rozstrzelania sił. Nie dzieliła ich ani różnica stanów, ani przeciwności miast i wsi... Instrukcyjna, wychowawcza działalność Patrona szkolili zarządy i rady, usuwała błędy i nadawała szkółkom jednolity kierunek”.

W latach 1892—1910 liczba spółek wzrosła z 86 na 265. Gromadziły one kapitał znacznie szybciej niż spółdzielnie Schulzego. W roku 1913, ponad 60 spółek skumulowało tak poważne kapitały rezerwowe, że przewyższały one znacznie kapitały udziałowe. 204 banki mieszczańsko-ludowe skupiały w 1913 roku 25.086.000 marek wkładów i 13.249.000 marek kapitału rezerwowego. Przeciętnie przypadało na jeden bank w tym czasie zaledwie 617 członków.

W latach 1892—1910 liczba spółek wzrosła kredytowe, założył w Mogilnie ks. Wawrzyniak pierwszą spółdzielnię rolniczo-handlową — tzw. „Rolnik”. W 13 lat później pracowało już 60 „Rolników”, skupiając zaledwie 9681 członków — bogatych chłopów (75 proc.), właścicieli folwarków (15 proc.), księży, adwokatów, lekarzy, ziemian i przedsiębiorców przemysłowych. Niezależnie od pełnej, możliwości rozporządzania kapitałami spółek pożyczkowych, zdołały zgromadzić „Rolniki” 1.218.000 marek kapitału rezerwowego.

„Gospodarka handlowa „Rolników” — pisze prof. Szymański w wydany dla Uniw. Łódzkiego skrypcie — wzorowana na niemieckich spółkach handlowo rolniczych miała charakter czysto kupiecki, mało liczyła się z nadaniem operacjom bardziej spółdzielczego charakteru”.

Polityczne znaczenie wielkopolskich spółek pożyczkowych, jako ruchu zwalczającego z powodzeniem niemieckie ataki na polski stan posiadania — doceniła należąca do historii Ocena tego samego ruchu jako zjawiska społecznego musi nasuwać pewne zastrzeżenia. Mamy tu bowiem do czynienia z drobnokapitalistycznym bankiem ludowym i przedsiębiorstwem handlowym typu „Rolników”. Instytucje te podtrzymywały mieszczańskich przedsiębiorców i utrwały społeczny stan posiadania w Wielkopolsce, oparty o wielkie, ponad 100 hektarowe gospodarstwa (53 proc. w 1914 r. i duże 20 do 100 hektarowe (18 proc.).

Warto by spytać, co stało się z człowiekiem, pokrzywdzonym przy podziale dochodu społecznego, który miał być przy pomocy spółdzielczości „przeobrażony moralnie w wolnego twórcę życia” — jak to chciał E. Abramowski.

Pokrzywdzony człowiek poszedł na emigrację. W latach 1871—80 — podaje Grabski — 113.669 matorolnych i bezrolnych opuściło Wielkopolskę na zawsze.

Miał zatem rację St. Thugutt mówiąc, że rolnicy odłam ruchu spółdzielczego najbardziej związali się z kapitalistycznym systemem gospodarczym i wyrzucił nieprzerwanie poza nawias życia nędzarzy, którym w zasadzie powinien być służyć.

d) „...załamały się nakazy moralne”

Dokonany tu pokrótce przegląd najważniejszych galezi spółdzielczości, nie uwzględniła szeregu odmian spółek pożyczkowych. Jak np. Spółdzielnie Kredytowe Reiffelsena czy Stefczyka, rozwijające się głównie w Galicji, ponieważ nie grały one wcale innej roli niż wielkopolskie. „W 1889 r. wrócił do kraju z Nadrenii Franciszek Stefczyk i przystąpił do akcji tworzenia spółdzielni oszczędnościowych, zwłaszczając większą, na wzór Reiffelsena. Stefczyk nastawiony idealistycznie i solidarystycznie (a także anty-socjalistycznie), utrafił w potrzeby zamożniejszego chłopstwa a znalazł poparcie duchowieństwa i nauczycielstwa” — tak charakteryzuje galicyjską spółdzielczość wiejską Witold Kula („Historia gospodarstwa Polskiego”, 1864—1918).

„W istocie Stefczyk reprezentował ruch ekonomiczny, który wprowadzając moralne, uczuciowe korektury w ustrój kapitalistyczny, nie podważał go w niczym” (A. Kamińska, „Wieś” nr. 45).

Gdyby walczące o dobro człowieka galicyjskie spółdzielnie spełniły zadanie, nie powstałaby zapewne tragiczna literatura o emigrującym proletariacie chłopskim.

Awansująca w kapitalizm spółdzielczość nie naruszyła nigdzie i w niczym liberalnego systemu społeczno-gospodarczego. Hasła miłości do człowieka, ochrony godności ludzkiej pokrzywdzonych zostały sponiewierane, podobnie, jak i sam człowiek pracy w systemie kapitalistycznym.

Obserwując objawy rozkładu moralnego w instytucjach spółdzielczych pisze St. Thugutt w 1932 r.: „Zwiedzy stare wierzenia i załamały się nakazy moralne, nie te, które się mieszczą w kodeksach, ale które w samych sobie nosimy. Świat staje się pomału dziką puszcza, której część mieszkańców szaleje, chwytając się wariackich sposobów ratunku, inni zaś ostrzą sobie pazury i kły, szukając po prostu zysku... Na życiu naszego ruchu spółdzielczego odbija się to źle”.

Witold Jedlicki

TRZECI ZJAZD Z. Z. L. P.

Trzeci po wojnie Walny Zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu stanowi ważny wydarzenie w życiu nie tylko kulturalnym, ale i politycznym Polski. Sam fakt wyboru Wrocławia na miejsce zjazdu świadczy o żywionej przez literatów chęci zmanifestowania polskości Ziemi Odzyskanych, ale nie tylko miejsce, bo także czas zjazdu jest czynnikiem ważności politycznej tego wydarzenia. Zjazd odbył się w momencie, w którym państwo — jak to zapewnił w swoim przemówieniu powitałny Młn. Kultury i Sztuki Ob. Stefan Dybowski na skutek osiągnięcia stabilizacji na polu gospodarczym jest w stanie położyć główny nacisk na problemy oświatowo kulturalne.

Zjazd odbył się niewątpliwie pod znakiem jedności. Można śmiało stwierdzić, że troska o odbudowę kulturalną Polski nurtuje w równym stopniu wszystkich pisarzy, że nie ma poważnych trudności w określeniu pewnego minimum ideologicznego wspólnego dla marksistów i dla katolików. Będzie to przede wszystkim pełne zrozumienie konieczności funkcji społeczno - wychowawczej literatury, zrozumienie tego, że przemiany społeczne, zachodzące w tej chwili w Polsce wymagają pozytywnego stosunku twórczości literackiej.

Zasadniczym postulatem formalnym wysuniętym na zjeździe jest postulat realizmu, realizmu nie ograniczającego się do opisu drobnych faktów życia codziennego, lecz realizmu zajmującego się generalnymi problemami życia społecznego ze wszelkimi ich warunkowaniem genetycznym. Mało tego. Nie powinien być to wyłącznie naturalistyczny, „gorzki” realizm typu Caldwell’a czy Steinbecka całkowicie usprawiedliwiony i zrozumiały we współczesnej rzeczywistości amerykańskiej, realizm pierwszej linii frontu. Realizm polski na skutek odmiennej sytuacji społecznej musi być wyrazem woli przeobrażenia rzeczywistości, środków wychowawczym, wyrazem entuzjazmu dla spraw postępu, wyrazem optymizmu i wiary w cel naczelny: wyzwolenie człowieka. Toteż wyświadczenie Stefana Kisielewskiego, który stwierdził, że taka interpretacja realizmu jest wypaczeniem właściwego znaczenia tego słowa, że jest to jakiś idealizm realistyczny opisujący nieznana przyszłość bez pokrycia w rzeczywistości, i ośmielił się nazwać ten postulat fałszerstwem intelektualnym, było jedynie dowodem niezrozumienia problemu. Kisielewski nie rozumiał, że wobec wyraźnie zarysowanego społecznego podziału dwoma typami współczesnej literatury światowej — z jednej strony literatury ludowego optymizmu, stawiającej perspektywę lepszego jutra dla wszystkich, z drugiej strony literatury drobnomieszczańskiej kapitulującej przed zwycięstwem siłami przynajmniej go imperializmu, literatury stawiającej perspektywę rozpacz, beznadziejności i sytuacji bez wyjścia, wybór tej drugiej możliwości, równałby się samounieważnieniu, byłby antyhumanistyczny. Dyskusję na temat kryteriów pozwalających określić, który z dwóch humanizmów: marksistowski czy katolicki jest prawdziwy, a który fałszywy, rozstrzygnął Stefan Żółkiewski przyjęciem pragmatycznego kryterium: ten humanizm jest prawdziwy, który lepiej realizuje cel wyzwolenia człowieka. W związku z tym Żółkiewski przeprowadził krytykę humanizmu katolickiego i określił bliżej jego cechy fałszywe: idealizowanie przeszłości i teraźniejszości, przemilczanie gorzkiej prawdy, przesuwanie akcentu na sprawy nieistotne i drugorzędne, wreszcie tak często spotykana u pisarzy katolickich fatalistyczna koncepcja człowieka w śladach grzechu przynajmniej częściowo zdefiniowanego przez siły nadprzyrodzone. Dlatego też replikując Jerzemu Zawleyskiemu Żółkiewski stwierdził, że jeżeli katolicki używa personifikacji szatan na określenie sił politycznych, walczących z postępem, to w takim razie cały spór jest czysto werbalny i zgoda może nastąpić; tym nie mniej, jeżeli sadzą oni, że grzech jest to pojęcie bliżej nie zdefiniowane, to w takim razie różnice stanowisk są bardzo poważne.

Żółkiewski zajął się jeszcze sprawą naszego stosunku do tradycji kultury polskiej. Jego zdaniem nowatorstwo formalne nie może przekreślić ciągłości kulturalnej i pięty mu wobec całej kultury przeszłej. Ze specjal-

niej wariackich sposobów ratunku, inni zaś ostrzą sobie pazury i kły, szukając po prostu zysku... Na życiu naszego ruchu spółdzielczego odbija się to źle”.

Oto tragiczny bilans ruchu, który postawił sobie za cel rozwiązanie moralnego problemu człowieka w ramach kapitalistycznej struktury społeczno-gospodarczej, a nie na drodze związku z rewolucyjnym ruchem dążącym do przemian ustrojowych.

II. PO ZMIANIE USTROJU

„Trzeba będzie brać znaczną część spadku po kapitalizmie na swój rachunek i na swoją odpowiedzialność” — pisał na krótko przed wojną St. Thugutt. Istotnie. Jeżeli bowiem referent Związku Gospodarczego R. P. „Społem” wypowiedział się w Klubie Dyskusyjnym po stronie specjalizacyjnej, a w szczególności spożywczej spółdzielni dla wsi, podkreślając równocześnie obawę, że w wypadku innego rozwiązania może ucieleścić „spółdzielczość i sama koncepcja wolności gospodarczej obywatela” — to nawiązywał on do omówionych

już powyżej tradycji spółdzielczych, przeobrażających „moralnie człowieka w wolnego twórcę życia”.

Jeżeli prezes „Społem” mówił o wyższości się obywatela w „dobrowolnej organizacji” spółdzielczej, nie uzależnionej od ruchu zawodowego i politycznego lewicy społecznej, — to nawiązywał on mimowoli do tych tradycji spółdzielczych, które w systemie kapitalistycznym stanowiły „odtrutkę przeciw wywrotowym prądom”.

W wyniku prowadzonej wiosną dyskusji w Klubie Spółdzielczym zwyciężyła jednak koncepcja spółdzielczości chłopskiej, zrywająca z tradycją międzyklasowych, stojących po stronie konsumpcji i co najwyżej wymiany — instytucji spółdzielczych, prowadzonych przez filantropów, w oparciu o moralny ideał miłości do człowieka.

Po zmianie ustroju kapitalistycznego na demokratyczny pisze Adam Rapacki: „niecierpliwił mnie ten typ apostoła spółdzielczego, zapatrzonego w duszę człowieka, nie widzącego, ani prawdziwego, realnego świata dokoła, ani mas ludzkich”.

Masy chłopskie nie czekały na wyniki wiosennej dyskusji. „Chłopi sami po reformie rolnej, przy kolosalnym zniszczeniu wsi, przy zupełnej obojętności odpowiedzialnych czynników spółdzielczych, co do formy spółdzielni na wsi — zbudowali spółdzielnie gminne, których w całej Polsce mamy po dzień dzisiejszy 2214. W Województwach centralnych, w Poznańskim i Pomorskim sieć Gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej dochodzi do 90 proc.” — mówił jeden z członków Klubu Dyskusyjnego.

Taki jest głos realnego świata, owych mas ludzkich. I jeszcze jedno. 1.971 młodych, uniwersalnych Spółdzielni Gminnych Z. S. Ch. wykazało obrót za rok 1946 sięgający 5 miliardów sześćset milionów zł., podczas gdy istniejące kilkadziesiąt lat, stare już spółdzielnie spożywców w liczbie 3.762 osiągnęły tylko 6 miliardów pięćset milionów złotych obrotów w ciągu tego samego roku.

Cyfrы te wykazują, że uniwersalna, Gminna Spółdzielnia Z. S. Ch. nie jest pomyłką. Realizuje ona postulat wpływu na produkcję, wymianę i konsumpcję, o który dopominało się daremnie od spółdzielczego ruchu spożywców — 28 nędzarzy roczelskich, Marks, Buchacz, Lassalle.

Wydaje się co więcej, że wraz ze stworzeniem Gminnych Spółdzielni Z. S. Ch., rozwiązuje się najważniejsza część problemu gminy — jej społeczno-gospodarczą organizację.

Rozbudowując dziś gminne spółdzielnie — nawiązuje Związek Samopomocy Chłopskiej nie do tej tradycji spółdzielczości, która zrodzona „z miłości do człowieka”, naruszyła tylko powierzchownie kapitalistyczny system gospodarczy, daremnie usiłując przeobrazić człowieka „w wolnego twórcę życia”.

Uniwersalna Spółdzielnia Gminna Z. S. Ch. nie nawiązuje także i do tej tradycji spółdzielczości ludowej, która chce uczynić kapitalizm „dostępnym dla szerokiej mas społecznej”, była właściwie „odtrutka przeciw wywrotowym prądom”.

Samorządnie, przez chłopów zorganizowane spółdzielnie, są dziś ustrojowym składnikiem zmienionej gospodarki — społecznej struktury państwa, ponieważ nawiązują do tych tradycji ruchu spółdzielczego, który wiązał się z walką robotników o sprawiedliwy podział dochodu społecznego, prowadził przeszło sto lat walkę o społeczną organizację produkcji, wymiany i konsumpcji, zagwarantowaną w samej strukturze ustrojowej — a więc toczył walkę o zdruzgotanie podstaw kapitalistycznego systemu gospodarczego.

Takiej spółdzielczości, związanej z ruchem społecznej walki chłopów o „wolnego twórcę życia”, powierza nowy ustrój jeden z najważniejszych elementów uspołecznionej struktury gospodarczej — organizację produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich, zapewnienie tej produkcji należytego zbytu i zaopatrzenie chłopów w artykuły przemysłowe.

Idąc od podstawowej jednostki gospodarczej — gminy, działania ustrojowe ustabilizuje związek funkcjonalny produkcji rolniczej z produkcją przemysłu państwowego, zestrącając zasadnicze elementy narodowego planu gospodarczego.

Tak więc nowa spółdzielczość chłopska, która wpisała do swego programu związek z ruchem politycznym i zawodowym chłopów, zmieniając układ gospodarczy od zewnątrz stała się wreszcie istotną częścią nowego ustroju i współdziałając z nim osiągnie zapewne przede człowieka — wolnego twórcę życia, niż awansująca kiedyś w kapitalizm spółdzielczość.

Wiesław Jażdżyński

W OSTATNIM 45 (124) NUMERZE „WSI” z dnia 23 listopada 1947 r.:

Witold Łukasiewicz — Rewolucja francuska 1789—1794 ze stanowiska społeczno-gospodarczego; Gerard Ciolek — Podstawy regionalnego planowania wsi; Anna Kamińska — Przdownicy kultury na wsi; Listy pisarzy — Lucjana Rydla i Jankta z Bugaja; Bohdan Baranowski — „Szkolne mizerie”; Lech Budrecki — Jeszcze raz prowincja; Zdzisław Skwarczyński — Edukacja chłopów w romansie XVIII w.; Jan Chodźko — Pan Jan ze Świsłoczy; Fakty i zdania: Zdzisław Szrajer — Czy naród niemiecki jest winien? Krzysztof Kolomb — Amerykańskie żywoty świętych; Bronisław Marciniec — Zaczarowany świat; Paulina Czyszowa — Kisielowi z Tygodnika Powszechnego; Wojciech Brodziej — List z Brazylii; 13 ilustracji, ogłoszenia, komunikaty, 8 stron.

ZE ŚLĄSKA

Bronisław Mazur

W KOPALNI

Czarny górnik — czarna jego dłoń
zwymowniała uściskiem w podziemiach —
gdy ujrzałem
w sztolni błysk oskardów,
świdrów nagły język,
i wybuchów płomień
i do wód sunące węgiel bryły twarde —

tutaj słowem każde uderzenie —
czujne drgnienie płomyka latarki
— a na zrębach łamiące się cienie
mylą śmierć zawisłą nad karkiem —

lecz górnik wrył się
w najtajniejszą sortę
(a tętno kopalni jego tętnem dzwoni)
bo miliony czekają na czarne transporty
— na jego barkach wsparte miliony.

MOST NA POLSKĘ

Na tej ziemi myśląc o pracy
mówię

śląsk —

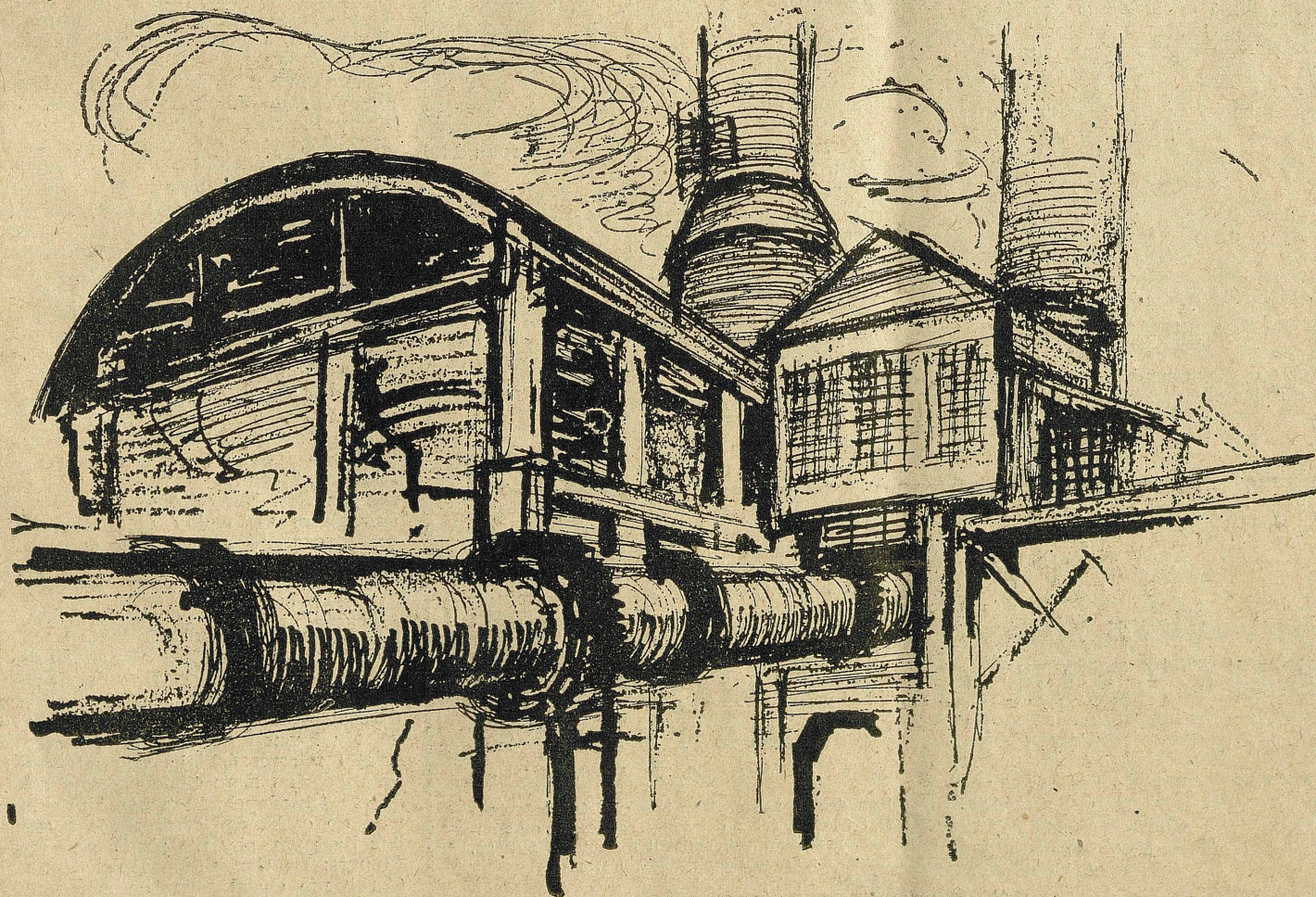
dni tu, jak noce — a noce czerwone —
słońce zapala się jakby raca,
a tylko ciągle wielkie piece płoną — —

śpiewają
windy i elewatory —
węgiel dla pieców,
węgiel dla silosów — —
zapatrzony
zgiąłem wśród huku i pośpiechu
aż —
jakby mię odczyniło ramie
zarzuconego na Polskę mostu:
— jadące nim
konstrukcje, dźwigi i motory.



Stefan Gierowski

Z KOPALNI WĘGLA W BYTOMIU



Jadwiga Bezdzikówna

CEMENTOWNIA W GROSZOWICACH

Wrocławska mowa Prezydenta Rzeczypospolitej (Wyjtki)

Dzisiejsza uroczystość otwarcia radiostacji wrocławskiej, jak również okoliczność, że temu ważnemu zjawisku naszego życia kulturalnego towarzyszy niemniej poważne wydarzenie z tejże dziedziny — zjazd we Wrocławiu literatów polskich, którzy obradować będą nad sprawami dalszego rozwoju naszej kultury — skłania do skoncentrowania dziś naszej uwagi na tym właśnie zakresie zadań.

Są to zadania równie doniosłe zarówno na terenie Ziemi Odzyskanych, jak i na terenie całego kraju. Ale sądzę, że nie jest bynajmniej rzeczą tylko przypadku, że ludzie owiani troską o prawidłowy rozwój naszego życia kulturalnego pragną dać wyraz tej trosce właśnie tutaj na Ziemiach Odzyskanych, gdzie niewątpliwie najbardziej uwidacznia się rozdział między dynamiką osiągnięć gospodarczych, a nieaspokojonymi potrzebami życia umysłowego. Jakkolwiek zrozumiałymi i wytłumaczonymi wydawałyby się przyczyny tego rozdziału, jest rzeczą niewątpliwą, że nowe warunki życia Polski Odrodzonej wymagają właśnie usunięcia wszelkich nierówności w rozwoju człowieka.

Zadanie to nie jest ani proste, ani łatwe. Upośledzenie kulturalne wielkich mas ludu pracującego ma swe bezpośrednie źródło w ich upośledzeniu ekonomicznym, w ciężkich warunkach ich bytu materialnego. Jest to najbardziej ponura spuścizna ustroju społecznego, który dbał tylko o wysoką stopę życia warstw uprzywilejowanych i pasożytniczych.

Kapitalizm rozwinął wspaniałe środki techniczne, ale skazując masy ludowe na nędzę, na wykołężenie, na ciemnotę, na najniższy poziom bytu materialnego i duchowego — tłumił i hamował w ludziach wzrost potrzeb kulturalnych w oparciu o wielkie zdobycze wiedzy, cywilizacji i kultury. W chęciowości i pogoni za zyskiem, w żądzy panowania nad światem doprowadził do wyniszczenia nie tylko wielowiekowy dorobek kultury, ale samego człowieka.

Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zacofanego gospodarczo uczynić kraj przodujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równoczesnego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych, bez równoczesnego kształtowania nowego typu człowieka, człowieka przodującego, który potrafi świadomie budować, który potrafi opanować technicznie swoją pracę, który potrafi zrozumieć i ocenić zadania i drogi naszego ogólnonarodowego rozwoju.

A więc, aby iść szybko naprzód, aby wydobyć się z tej ponurej spuścizny zniszczeń i zacofania, aby utorować narodowi wolną drogę pełnego rozkwitu jego sił twórczych, konieczny jest rozwój nie tylko przemysłu i rolnictwa, konieczny jest również szybki rozwój oświaty, nauki, kultury i sztuki, konieczny jest równoczesny rozwój pełnych potrzeb materialnych i duchowych człowieka.

Wynikiem ustroju opartego na przeciwieństwach społecznych był sztuczny i nieosiągalny dla mas ludowych dystans między człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej i człowiekiem nauki, kultury i sztuki. Radość życia na wysokim poziomie zdobyłszy wiedzy, kultury, sztuki, była dostępna dla niewielu wybranych. Inteligencja zawodowa, ludzie nauki, wychowawcy, artyści, pisarze, muzycy, poeci, malarze, utalentowani wykonawcy dzieł sztuki i różnorodni posłannicy kultury, oddziaływający na wyobraźnię, uczucia, myśli i wzruszenia ludzkie, byli oddzieleni nieprzebytnym murem od wielkich mas narodu, tworzących w pocie czoła materialne podstawy wiedzy, kultury i sztuki.

Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny twórca czy wychowawca musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopca, codzienny mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi, wobec którego jest on moralnie zobowiązany.

Cechą znamioną naszego okresu jest to, że nie wybrane tylko warstwy i nie wyjątkowe tylko postacie, nie indywidualni bohaterowie, ani elita wytrawnych smakoszy wiedzy, sztuki, czy kultury, działają dziś na potężnej scenie dziejowych przemian narodów.

Cóż warta byłaby twórczość artystyczna, coż warta byłaby sztuka, wiedza, czy literatura, która by nie dostrzegała, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonywują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi.

Najzupełniej nieuzasadnionym i fałszywym jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego, jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynaryjnych lub sprostych. Wprost przeciwnie. Przecież ludzi prostych, ludzi ciężkiej, mozolnej pracy obcą jest nieokiełznana zmysłowość, wyrafinowany erotyzm różnych pasożytów — spekulantów i ludzi bez jutra, ludzi dnia wczorajszego. Tęsknoty duchowe, przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społecznie wyzwolonych ideach i obrazach.

Sztuczna, wulgarna „kultura ludowa”, sztuka dla maluczkich — oto wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopca czy robotnika.

Witold Łukaszewicz

ZAGADNIENIE SOCJALNE REWOLUCJI*)

(Rewolucja Francuska r. 1789 - 94)

MIEJSKA I WIEJSKA BIEDOTA

Był w tym ubogim państwie, w bogatym kraju, obok potężnej burżuazji i zrujnowanych gospodarstw feodów, jeszcze jeden czynnik, któremu rewolucja miała dużo do zawdzięczenia. Był on „niczym” w monarchii Ludwika XVI i w stanie trzecim. Na imię mu — miejska i wiejska biedota!

Na jej czele ruszyła burżuazja do boju „ze starym porządkiem”, rozpoczynając Rewolucję. Biedota francuska nie stanowiła w owym czasie zorganizowanej, świadomej swych celów politycznych i innej formy własności klasy społecznej, była liczną, pędziła żywot godny pożałowania. Do dzisiaj nie została jej rola w Rewolucji wyczerpująco oświetlona przez historię francuską i obcą. Biedota miejska liczyła 2 miliony 385 tysięcy na 5 milionów 810 tysięcy ogółu ludności miejskiej we Francji, czyli 50%; biedota wiejska (bezrolni) stanowiła 5 milionów 354 tysięcy na 20 milionów 687 tysięcy, czyli 26,3% ogółu ludności włościańskiej. Łącznie miejska



Hébert

rysunek Gabriela

1 wiejska biedota liczyła 7 milionów 739 tysięcy na 27 milionów 550 tysięcy ogółu ludności Francji w r. 1789, czyli stanowiła 28,4%. Cała natomiast wielka burżuazja liczyła zaledwie 500 tysięcy, czyli niespełna 2% ludności Francji. (Macédo-Machlejd; op. c. str. 47—63). Wskutek ciężkiego położenia na wsi bezrolni chłopci napływali gromadnie do miast jako centrów przemysłowych i handlowych w poszukiwaniu pracy zarobkowej. Przyjmowali zatrudnienie w fabrykach, manufakturach, szli do terminu do majstrów, służyli u burżujów i u szlachty urzędniczej. Przejściowe kryzysy w pewnych gałęziach przemysłu, zwłaszcza od zawarcia w r. 1786 niekorzystnego dla większości przemysłowców francuskich traktatu handlowego z Anglią, odbijały się ujemnie na warunkach bytowania rzeszy robotniczej, powodowały redukcje w warsztatach pracy, bezrobocie i w następstwie niedzę i głód. Paryż, największe miasto Francji, liczył w roku 1789 — 600 tysięcy mieszkańców i był najliczniejszym zborowiskiem tej biedoty, która tu napływała ze wszystkich zakątków kraju w poszukiwaniu zarobku. Plebs stanowił więcej jak połowę ludności stolicy Francji, był nastrojony rewolucyjnie i dlatego został wykorzystany przez burżuazję jako taran do rozbijania jej przeciwników politycznych. Umysłowanie należte tego faktu wyjaśnia nam zagadkę, dlaczego Paryż był motorem Rewolucji przez cały czas jej trwania. Tam było najświeższe skupisko rewolucyjnej burżuazji i najliczniejsza rzesza plebska, rozrzucona po 60 „dystryktach”, przemianowanych z kolei na 48 „sekcji” dzielnicowych.

Robotnicy fabryczni i manufaktur, czeladnicy i terminatorzy, służba domowa i tak liczni w Paryżu żebracy, objęci w czasie Rewolucji nazwą „obywateli biernych” (do 11 sierpnia 1792 roku), pozbawieni praw politycznych, ponieważ nie opłacali podatku równowartości trzech dniówek roboczych czyli 4, 5 franka, oberwali, bez własnego kątka i warsztatu, zamieszkujący przedmieścia Saint-Marcel i Saint-Antoine — oto taran Rewolucji w rękach burżuazji! W miastach prowincjonalnych stosunki podobnie układały się w tym względzie jak w stolicy Francji. 28,4% ogółu ludności francuskiej bez praw politycznych i wystarczających środków utrzymania — to coś znaczy, to wyjaśnia nam, dlaczego hasła równości politycznej i socjalnej świadomie wypaczane przez rządzących kolejno obozy: Feuillantów, Żyrondystów, Górali i Thermidorystów, znajdowały wzięcie w masach sankiulockich. Wiemy dobrze, że piękne słówka o wolności i ludzkości bardzo często kryły rękę wyzysku i ucisku. Rewolucja Francuska proklamowała prawa człowieka i obywatela, lecz klasy posiadające rozumiały pod tymi pięknie brzmiącymi słowami — prawa burżuazji i kapitału. One głosiły, że ludzie są wolni wówczas, gdy posiadający nie będą mieli nad nieposia-

dającymi innymi środkami dominacji jak sama własność; lecz własność — to siła suwerenna, która rozporządza wszystkim. Istotę rewolucyjnej burżuazji stanowił zatem egoizm klasowy, zabarwiony hipokryzją. Po każdym zwycięstwie, odniesionym nad królem, niedobitkami arystokratycznymi i klerem przy pomocy proletariatu, burżuazja porastała w pierze władzy i zarabiała na Rewolucji, dzieląc się częściowo zyskami z zamożnym chłopstwem. Tak było z kupnem dóbr kościelnych i poemigranckich, które stały się przedmiotem ożywionych spekulacji; tak było z dostawą żywności do miast. Burżuazja wywołała Rewolucję przy pomocy chłopów i miejskiej biedoty oraz nielicznej grupy niezadowolonych uprzywilejowanych, zdobyła władzę polityczną, obaliła ustroj feudalno-absolutny, obaliła nawet monarchię konstytucyjną, ale dalej iść nie chciała, gdyż bała się rewolucji socjalnej i zmian w prawie własności. Stała niezachwianie w obronie tego prawa, odrzucając uporczywie wszelką inicjatywę, zmierzającą do uspołecznienia handlu, przemysłu i własności rolnej, podejmowaną przez utopistów komunistycznych i „wscelekłych” w latach: 1789—1794. Burżuazja popierała Rewolucję o tyle naprzód, o ile to odpowiadało jej kapitalistycznym interesom. Zorganizowana w klubach politycznych w Paryżu i na prowincji, opanowała kolejno zmieniające się organy ustawodawcze: Konstytuante, Legislatywę, Konwencję Narodową; święciła triumf za Dyktatoriatu i zgubiła Rewolucję, powierzywszy jej losy w ręce cesarza Napoleona Bonaparte, któremu nie omieszkała zbudować wiekistej legendy. Wszyscy najbardziej wpływowi mężowie Rewolucji służyli interesom burżuazji; ona trzęsła Klubem Jakobińców, sterowała Kordelierami, opanowała administrację, była motorem wydarzeń, wysługując się plebsiem jako taranem do łamania wszelkiego oporu wewnętrznego jak i zewnętrznego.

Oburzonym usługę wyświadczali burżuazji w pierwszej fazie Rewolucji chłopci — posiadacze w liczbie 15,3 milionów. Na pierwszy zew z Paryża, na hasło bojowe, którym było zbурzenie Bastylii przez lud paryski przy wybitnym współudziale bankierskich dukatów, rozdzieleni na szeregach zauszników zdymisjonowanego Neckera, chłopci — posiadacze w pierwszym odruchu wywołał „zakerie”, zniszczyli gdzie się dało archiwa świadczące feudalnych i zamki seniorów. Po osiągnięciu tego zwycięstwa nad feodalizmem zabrałi odtąd ciagle na Rewolucji; przez dalsze powstania uzyskali całkowite zniszczenie przytłoczonego ustroju feudalnego w rolnictwie, które chciały koniecznie zatrzymać dla własnych korzyści ugrunтовуюcą się na wsi i próbującą zastąpić tam dawną szlachtę — burżuazję! (A. Aulard: La féodalité sous la Révolution, 1913).

Te same masy chłopów — posiadaczy zachowały się w latach największego nasilenia rewolucyjnego wrogu, a w najlepszym wypadku biernie wobec tworzącego się nowego porządku, popierały rozłam wewnętrzny, spowodowany przez konstytucyjną cywilną duchowienstwo, zasilały rewolucję federalistyczną, organizowaną przez rozgromioną w Konwencji Żyrondę do spółki z emigrantami i klerem, one wreszcie utrzymywały swym chłopim uporem powstanie w Wandei. Majętny chłop tak, jak jego maitre burżua, nie chciał iść na radykalizm społeczny, bał się komunizmu, występującego podówczas pod przykrywką „prawa agrarnego” (loi agraire). Dla niego wystarczała w zupełności „Deklaracja Praw”, zapewniająca wszystkim równość wobec prawa, równość majątkową nie chciał, Chętniej słuchał zakapturzonego księdza lub ex-mniecha, niż umiarkowanego w poglądach społeczno-gospodarczych Robespierrea i... komisarzy Konwencji, tłumiących rewoltę federalistyczną i organizujących obronę Francji przed wrogami zewnętrznymi. Poparła natomiast sponańicznie dzieło komisarzy Konwencji miejska i wiejska biedota. To jej przede wszystkim zawdzięcza Francja swoje ocalenie!

WIELKOŚCI REWOLUCYJNA, GDZIE TWOJE IMIĘ?

Wielkość Rewolucyjna — to Wielki Nieznany Plebs Francuski, nazywany pogardli-

wie przez burżuazję i byłych uprzywilejowanych: „mołochem, kanalią”, zamieszkujący najniebezpieczniejsze przedmieścia paryskie: Saint-Marcel i Saint-Antoine oraz setki miast prowincjonalnych i wsi Francji; to ta krzykliwa masa, uzbrojona w pikę, obdarta, w czerwonych czapkach frygijskich i długich pantalonach, maszerująca na Bastylię w lipcu 1789 r.; szturmująca 20 czerwca 1792 roku Tuilleries; obalająca zdradziecki tron Bourbonów po morderczym ataku 10 sierpnia 1792 roku; miażdżąca 31 maja i 2 czerwca 1793 r. uwikłaną w zdradę własnego narodu i knującą kontrrewolucję do spółki z reakcją klerikalno-szlachecką burżuazyją Żyrondę. Postuśnię i ofiarnie szedł Wielki Nieznany do boju o cudze interesy, nie zdając sobie sprawy z tego, iż był narzędziem intrygi, gotującej w konsekwencji grób Republice, za którą tyle krwi przelał. Uczestniczył z reguły w rozgrywkach między bożkami Rewolucji, wynosił jednych, obalał drugich, mordował, niszczył. Był muryzmem w Rewolucji: zrobił swoje i musiał odchodzić! Grali na jego nieświadomości i uczuciach wielcy sługusi burżuazji: Mirabeau, Bailly, Lafayette, Brissot, Roland, Vergniaud, Danton, M. Robespierre oraz święci thermidora: Barras, Fouché i Tallien — wszyscy grabarze Rewolucji.

Burżuazja, uchwyciwszy w swe dłonie ster Rewolucji, nie dźiałała jednolicie, rozbiła się na zwalczające się nawzajem obozy. Jak Saturn pożerała własne dzieci. Przyznawał to wyraźnie sam „złotousty” Vergniaud na posiedzeniu Konwencji w dniu 13 marca 1793 r. Umiarkowana burżuazja zgropowała się wokół Żyrondy, rewolucyjne doły drobniomieszczańskie, które cierpiały niedostatek wskutek konkurencji wielkich kapitalistów, spekulacji, spadku kursu asygnał i wzrostu cen na środki żywności, szły za Górami Robespierrea. Uwaga kierownictwa Górali była wszelkie skupiona w pierwszym rzędzie na plebsie-owej „kanalii”, której używano w razie konieczności do łamania oporu Żyrondy i „Bagna” w Konwencji. Wszyscy ci, którzy usiłowali odebrać Górze ów plebejski taran Rewolucji, byli uznawani przez Robespierrea i jego sztab jakobiński - kordelierski oraz zaufanych manderariuszów w Komunie Paryża za wrogów Rewolucji. To dla nich w pierwszym rzędzie była przeznaczona gilotyna!

ZAGADNIENIE REWOLUCJI SOCJALNEJ

Rewolucja socjalna była zwalczana tak przez Żyrondę jak i Góre, które uważały ją za przedczesną i szkodliwą. Nie przeszkadzało to bynajmniej, że oba zwalczające się obozy polityczne wzajemnie się oskarżały o usiłowanie jej przeprowadzenia. Kiedy w roku 1792 Momoro i Dufour zaatakowali publicznie własność gruntową, oszczędnając przemysłową, burżuazja żyrondystowska i górska, która nie obawiała się wywłaszczyć kościoła francuskiego i emigrantów, podniosła wielkie larum w obawie, że propaganda przeciw własności rolnej przerazi nabywców dóbr narodowych i zwróci przeciw Rewolucji dotychczasowych jej przyjaciół z warstw posiadających oraz zachwieje finansami państwa. W miarę jak umacniała się demokracja polityczna, burżuazja powtarzała coraz częściej, że własność jest święta i nienaruszalna. Nawet w tym momencie, kiedy siła ludowa stawiała się dla Rewolucji coraz bardziej potrzebna, aby przez nią zastąpić umiarkowaną burżuazję, Góra Robespierrea stawiała sobie pytanie, czy przez dopuszczenie plebsu do władzy i przez uwzględnienie jego społeczno-gospodarczych postulatów Rewolucja nie wkroczy na równie pochyłą. (Jaurès: La Convention, I, str. 137. Wyd. z roku 1901. Bibl. Miejska Łódź nr. 29234).

„Prawo agrarne”, pod którym rozumiano powszechnie we Francji obok postulatów równego podziału ziemi między obywateli także zespół środków, mających uniormować prawo własności w ogóle, oraz całość rewindykacji socjalnych, należnych „obywatelom biernym”, było w rękach Żyrondystów argumentem do wysuwania oskarżeń pod adresem Góry, chociaż oni dobrze wiedzieli, że ani Robespierre, ani Marat, Danton, Saint-Just, Collot D'Herbois, Hebert, Chaumette i Bil-

laud - Varennes nie byli zwolennikami faktycznej równości socjalnej.

Mieli oni własne koncepcje ustroju społecznego, sformułowane pod przemocnym wpływem teorii ekonomicznych Quesnaya i Smitha. (Fizjokratyzm i Liberalizm). Wywody Doliviera, Petijana, Momoro, Dufoura, Bonneville'a, Lange'a oraz „wscelekłych” — Jakuba Roux w sprawie socjalizacji życia gospodarczego we Francji nie znajdowały u Górali chętnego posłuchu. Na s'osowanie „Maximum” i zwalczanie spekulacji zdecydowali się Górale Robespierrea dopiero pod naciskiem ulicy opanowanej w roku 1793 przez J. Roux i jego zwolenników. Robespierrestyczny sztab jakobiński - kordelierski, zagrożony wymknięciem się władzy nad sankiulotami, postanowił zlikwidować niewygodnego wodza „wscelekłych” i przyjąć częściowo jego program społeczno-gospodarczy celem uciśnienia nastrojów biedoty.

Fanatyczny Jakub Roux, który od stycznia do czerwca 1793 roku podburzał wraz z Varnetem i Różą Lacombe masy paryskie przeciw spekulantom żywnością i walutą oraz

N°		1 Pluviose.	
N°		6 Pluviose.	
N°		11 Pluviose.	
N°		16 Pluviose.	
N°		21 Pluviose.	
N°		26 Pluviose.	
NUMERO du REGISTRE	N O M du CONSOMMATEUR	DATE des DISTRIBUTIONS	LIVRES de VIANDE

SECTION de Vivandier

I. Citoyen *(Signature)*
domicilié rue *(Signature)* n° 542,
recevra régulièrement pendant le temps et aux jours ci-dessus désignés, chez le Citoyen *(Signature)* Boucher de la Section, rue *(Signature)* la quantité d'une livre de viande pour son ménage composé d'une bouche, suivant sa déclaration vérifiée par les Comités, à raison de demi-livre par bouche tous les cinq jours.

Delivré par les Comités Civil et de Bienfaisance réunis de ladite Section, le 15 nivôse de l'an quatrième de la République.

(Signature)

Paryska kartka żywnościowa z r. 1796

Archiwum narodowe w Paryżu

domagał się wprowadzenia przez Konwencję cen sztywnych na artykuły pierwszej potrzeby, nie był według Jaurésa na drodze do komunizmu, gdyż nie opierał swego ruchu na elemencie robotniczym z przedmieść Saint-Marcel i Saint-Antoine, lecz na drobnej rzemieślniczej i handlowej burżuazji, zagrożonej śmiertelnie przez kapitalistycznych rekinów: wielkich kupców, fabrykantów, armatorów, którzy zmonopolizowali dostawę surowca i stanowili zaborczą konkurencję dla handlu detalicznego i rzemiosła.

Będem w takiego Jakuba Roux było jego odosobnienie polityczne od Jakobińców i głoszenie zasady niezależności mas od grup politycznych. Zgodnie z tą zasadą Jakub Roux podjął walkę z Robespierrem, Saint-Justem, Hebertem i Chaumetteem faktycznymi przewodcami Jakobińców, Kordelierów i Komunie Paryża. Na rezultat takiej polityki „wscelekłych” nie trzeba było długo czekać. Robespierre określił ruch „wscelekłych”, jako zamach na rewolucyjny porządek; zamach, inspirowany przez zagranicę dla osłabienia energii rewolucyjnej. Rouxa oskarżono niesłusznie o fałszerstwo, postawiono przed Trybunałem Rewolucyjnym i spowodowano jego samobójstwo w styczniu 1794 roku. Program „wscelekłych” został w zasadniczych punktach przejęty przez Robespierrea dla pozyskania mas ludowych. W interpretacji „Nieprzedajnego” (Robespierrea) nie zagrażał on już rewolucyjnemu porządkowi, uświadamiającemu wolność i własność. Bez cienia wyrzutów sumienia poświęcił Góra Jakuba Roux, bohaterkiego fanałkę walki o prawa do życia szarego obywatela; czynił to dla uspokojenia umysłów klasy średniej i zażegnania rozszerzającej się wojny domowej, kierowanej przez rozgromioną w czerwcu 1793 roku w Konwencji burżuazyjną Żyrondę przez Górali Robespierrea.

Poglądy społeczne wodza Góry Robespierrea były ubogie. Unikał on walki klas, nie uznawał równości majątkowej; chciał demokracji suwerennej w dziedzinie politycznej, lecz statycznej w dziedzinie gospodarczej. Ideałem Robespierrea było oparcie ustroju Francji na drobnej własności chłopskiej i mieszczańskiej. Obywateli dzielił on na dobrych i skorumpowanych, a nie na bogatych i biednych. Zamożność uważał za powód do osobistego nieszczęścia i sam chciał być biednym, aby nie zostać nieszczęśliwym. (Jaurès: La Convention II, str. 1216). Wódz Górali nie chciał jednakże zrywać kontaktu z ulicą, która schlebiała hasłom radykalnym „wscelekłych”, lecz nie czynił on sobie przede wszystkim tego, aby widmo rewolucji socjalnej spędzało sen z oczu średniej burżuazji. Dla niej to i dla chłopów posiadaczy liwido-

UWAGA, ROLNICY

i wszystkie Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej! ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ w WARSZAWIE wydaje w GRUDNIU r. b.

Kalendarz rolniczy p. t.

ROZNIK GOSPODARSKI na rok 1948

(Poradnik instruktora)

objętości 250 stron druku, zawierający bogaty dział podstawowych niezbędnych wiadomości z dziedziny rolnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, pszczelarstwa, hodowli inwentarza żywego, pielęgnowania maszyn i narzędzi rolniczych i t. p.

CENA ZŁOTYCH 120.—

ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ POCZTA POD ADRESEM:

Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7/9, Dział Wydawniczy Związku Samopomocy Chłopskiej ROZNIK GOSPODARSKI będzie wysyłany w kolejności otrzymywanych zamówień za zaliczeniem pocztowym (to znaczy z 120.— należy wpłacić przy odbiorze na pocztę).

*) Patrz cz. I „Rewolucja Francuska 1789—1794 ze stanowiska społeczno-gospodarczego”. „Wiś” Nr 45 (124).



Robespierre

plakietka współczesna

wał w marcu 1794 roku Herbertystów, którzy nieogólnie przejęli spuściznę po Jakubie Roux. Na dodatek przywrócił chłopom i burżuazji w trosce o ich szczęśliwość zagrożoną Najwyższą Istotą i urzędową wiarę w nieśmiertelność duszy!

Marat był temperamentem gwałtownym w służbie polityki umiarkowanej. Chciał usunąć wszelkie środki, aż do miecza włącznie, ludzi i partie, zagrażające wolności, lecz unikał starannie bezużytecznych komplikacji i przedwczesnych posunięć, które mogłyby powiększyć kłopoty Rewolucji. Program społeczno - gospodarczy głosiciel „loi agraire” i „wściekłych” uważał Marat za nie do przyjęcia, gdyż mógłby on wywołać, ożywić i podtrzymać konrewolucję, drażniąc burżuazję i chłopów posiadaczy. Dlatego zaatakował Marat Stowarzyszenie Obronców Republiki, które domagało się od Konwencji 12 lutego 1793 r. wprowadzenia urzędowych cen na zboże, kar na spekulantów i uznania pełnej równości społecznej wszystkich obywateli. Marat uznał te żądania za akt szkodliwy dla sprawy wolności, inspirowany przez rojalistów w celu wywołania zamętu wewnętrznego we Francji. Stanowisko Marata, „przyjaciela ludu”, harmonizowało wówczas doskonale z poglądami na tą kwestię żyron-dystowskiej i góralskiej burżuazji.

Saint-Just martwił się tylko o warunki materialne, niezbędne do rozwoju Rewolucji i domagał się silnego rządu dla opanowania chaosu politycznego i gospodarczego. Jako środek mający zapewnić równowagę gospodarczą proponował ograniczenie emisji asygnat. (Jaurès: La Convention, I, s. 359).

Najdalej z Górali wybiegał prokurator Komuny Paryskiej — Chaumette. Wskazywał on na olbrzymie dysproporcje między burżuazją i biedotą, dotykał zagadnienia robotniczego, które Rewolucja zaprzepaściła. Żądał podwyższenia stawek płacy dla robotników proporcjonalnie do wzrostu kosztów utrzymania, stawek gwarantujących egzystencję. Chciał, aby nareszcie Rewolucja obróciła się na korzyść biedaka, który dotychczas jest tylko „lokatorem w swej ojczyźnie”. Trzeba przyznać, że Chaumette miał rację. Rewolucyjna burżuazja poczęła robotnika francuskiego prawem Chapeliera, zabraniającym zawierania związków, odbywania zebrań i porozumień dla obrony interesów zawodowych. Burżuazyjna Konstytuanta bała się sprzyśszenia robotniczego przeciw istniejącemu jawnie sprzyśszeniu kapitalistów. (Zagadnienie robotnicze we Francji w dobie rewolucyjnej omówił gruntownie uczeń sowlecy: Kullischer, Tarlé i Jefimow. Patrz także ciekawe prace rosyjskie o Rewolucji w „Kniha dla czełnia po istorii nowogo wremienia” t. III. Moskwa 1912, str. 407—483).

Radykalny Billaud - Varennes upatrywał poprawę bytu mas ludowych w podjęciu przez państwo wielkich robót. Nie był on przeciwnikiem luksusu prywatnego i „cywilizacji burżuazyjnej”. Uważał rozwój handlu i przemysłu za podstawę opłacalności rolnictwa. Również społeczna chciała osiągnąć przez ograniczenie wielkiej własności rolnej i reformę prawa spadkowego, której zarys nakreślił w t. zw. „planie sukcesji narodowej”. Każdy spadek miał być według recepty Billaud - Varennes'a dzielony bez względu na ilość spadkobierców na pięć działów. W wypadku, gdyby spadkobierców było mniej, niż pięciu, należy dobrą część ubogich rodzin i rozciągnąć na nie prawo dziedziczenia spadku. Billaud - Varennes uważał nadto prawo każdego człowieka do życia, do pracy i do własności indywidualnej. Daleko mu było do entuzjazmu dla „loi agraire” i programu społeczno - gospodarczego „wściekłych”.

Nawet domagający się od Konstytucji 1793 roku realizacji zasady lepszego porządku społecznego przez wprowadzenie po równości politycznej, równości faktycznej obywateli (l'égalité de fait) deputowany z Neuse Harmand nie żądał równości majątkowej, którą uważał za przyczynę zamętu wewnętrznego. Chciał on tylko ograniczyć nadużycia, wpływające z prawa własności i wyrównać wszystkie krzywdy, jakie te nadużycia wyrządziły masom.

Jak z powyższego przeglądu wynika, nie panował wśród Górali nastrój przychylny dla rewolucji społecznej, której potrzebę przeprowadzenia głosili zwolennicy „prawa agrarnego” i „wściekłych”. Cóż dopiero mówić o burżuazji przemysłowej i handlowej, stanowiącej trzon Żyrondy? (C. d. n.)

Witold Łukaszewicz

Stanisław Lewicki

SPOŁECZNA SŁUŻBA ZDROWIA

Głos w dyskusji*)

Szeroko otwarte oczy na świat, pilna obserwacja dziejących się w nim przemian i gruntowne, fachowe wykształcenie ustrzec może lekarza od nieprzemysłanej działalności na polu nauki i pracy społecznej. Również i świadomość celu, do którego dążą lekarze oraz znajomość dróg jest warunkiem, bez którego wszelka praca będzie błędzeniem w ciemnościach, a efekt zależny od przypadku.

To też, zanim zacznie się dyskusja nad technicznym zorganizowaniem pomocy lekarskiej dla wszystkich obywateli, należy zastanowić się nad zakresem pracy lekarza.

Działalność lekarza może polegać na: 1) zapobieganiu chorobom w najszerszym tego słowa znaczeniu i 2) leczeniu chorych.

Z dwóch punktów obserwacyjnych można zaktualizować zagadnienie leczenia i zapobiegania:

a) Pierwszym z nich, podejściem cechującym większość społeczeństwa polskiego, jest postawa osobista - moralna wypływająca z etyki i tradycji chrześcijańsko-samarytańskiej bez uwzględnienia głębszych aspektów społecznych. Nie chciałbym tutaj twierdzić, że działalność samarytańska jest aspołeczna — powtarzam, jest ona pozbawiona dalekowzroczności w dążeniu do podniesienia zdrowia i fizycznej obecności i przyszłych pokoleń. Lekarze uprawiający przede wszystkim tego rodzaju Judymową charytatywną misję, byłiby dziś zapewne w niezgodzie z surowymi przepisami (na razie — w części projektami) warunkującymi zdrowie następnych pokoleń.

Nie zatrzymując się nad tym indywidualistycznym, aczkolwiek niezmiernie interesującym ujęciem zagadnienia, pragnę rzucić kilka uwag z tego drugiego punktu obserwacyjnego t. j. — społecznego.

b) Minister Zdrowia Publicznego sprzed 1923 r. dr T. Janiszewski mówił, że konieczna jest „dbałość społeczeństwa i państwa o ten najcenniejszy materiał organiczny, który jest jego najistotniejszą treścią, a tym materiałem są ludzie. Dbałość zatem o życie i zdrowie obywateli, o ich ilość i jakość jest najważniejszym elementem pojęcia idei państwowej”.

Jakość i ilość obywateli winna być głównym przedmiotem trosk kierowników państwa, którzy jak widać z projektu ustawy o organizacji Publicznej Służby Zdrowia z 1946 r., weszli już na właściwą drogę polityki populacyjnej. Czytamy tam: „Zdrowie i przyrost naturalny stanowią podstawowy czynnik potęgi państwa...” i dalej: „podstawowym zadaniem Publicznej Służby Zdrowia jest zapobieganie w utracie zdrowia i zapewnienie w razie choroby pomocy leczniczej”. Widać stąd jasno, że ustawodawca postawił na pierwszym miejscu zapobieganie, a na drugim dopiero — leczenie chorych. Słuszność tego rodzaju postępowania nie wymaga już bliższych wyjaśnień, zmusza jedynie do zastanowienia się, jakimi drogami dążyć będzie Ministerstwo Zdrowia do zrealizowania tego planu.

Już w 1929 r. upominał się doktor T. Janiszewski o stworzenie przedmażeńskich poradni eugenicznych. Uważa on, że eugenika jest niejako ukoronowaniem wszelkich wysiłków higienicznych, w niej najjaśniej widoczna jest zapobiegawczy charakter wszystkich działań higieny. Zadaniem jej jest zahamowanie procesu rodzenia się mniej wartościowych fizycznie i psychicznie ludzi i intensyfikowanie rozrodu ludzi krzepkich i pełnowartościowych.

W nowoczesnych społeczeństwach istnieje już poradnictwo przedślubne i spełnia swe trudne i niewdzięczne, ze względu na brak natychmiastowego efektu — zadanie.

Z punktu widzenia polityki zdrowia, należy postawić na pierwszym miejscu dbałość o utrzymanie należytego stanu zdrowia a więc działalność profilaktyczną. Leczenie chorych ważne jest o tyle, o ile opłaca się ono z przy czyn ekonomiczno-społecznych. Wprawdzie chorzy będący ciężarem społeczeństwa nie mogą być ze względu na humanitarne przede wszystkim, a oszczędnościowych w drugim rzędzie — nie leczeni, to jednak higienę rozrodu uważać należy za podstawowy czynnik pomyślnego rozwoju narodu.

Zapalenia zwolennicy zapobiegania chorobom i wprowadzenia zasad eugeniki popadają niejednokrotnie w skrajność, kiedy twierdzą, że rozwój np. pediatrii spowodował spadek śmiertelności niemowląt, utrzymując przy życiu na razie niewielki procent dzieci chuderlawych, które by w innych warunkach zmarły, a które dorastając dają początek nowym pokoleniom fizycznie niedorozwiniętym. Ten pogląd każe wysnuwać wręcz paradoksalne wnioski. Wynikałoby, że trzeba zatrzymać szybki rozwój medycyny w celu umożliwienia samostnej selekcji dokonywanej przez chorobę.

W Sparcie selekcyjonizmu jednostki chore. Selekcja ta miała bardzo brutalny charakter.

Nieco mniej brutalnie postępowano w Niemczech. Ustawa wydana 14.7.1933 r. mówi, że „chory, po stwierdzeniu przez naukowe siły lekarskie, iż potomstwo jego mogłoby być obciążone ciężkimi chorobami na ciele lub umyśle, zostaje poddany zabiegowi ubezdupnienia”.

Następna ustawa idzie dalej i zezwala na przerwanie ciąży w wypadku stwierdzenia choroby dziedzicznej.

*) St. Lewicki zabiera jako drugi głos w dyskusji rozpoczętej przez prof. dr. Marcina Kacprzaka we „Wsi” nr. 44 „Pilna sprawa”.

Polityka populacyjna opierać się będzie w przyszłości na ograniczeniu wolności, na przynusie. Przy pomocy tylko takich sposobów oczekiwane będzie można pożądanego rezultatu. Żądanie to szczególnie w Polsce będzie trudne do przeprowadzenia, gdyż jesteśmy specjalnie niechętni wszelkiego rodzaju uszczupleniom naszej samodzielności i swobody. Już w 1772 r. zauważył obokrajowiec dr Tr. De Luz, że: „Polacy, niewolnicy bez rozumnej wolności — nawet przez wzgląd na własne zdrowie, nie chcieli jej zmieniać”.

W konkluzji dochodzimy do wniosku, że z punktu widzenia społecznego, polityka zdrowia powinna uwzględniać przede wszystkim higienę rozrodu, zapobiegania chorobom i leczenie chorych, którzy, wracając do zdrowia — przestają być ciężarem społeczeństwa.

Jakie są warunki i możliwości powodzenia tego rodzaju polityki zdrowia?

a) Pierwszym zadaniem jest kształcenie fachowców. Zadanie niezwykle trudne w naszej sytuacji ze względu na brak znawców eugeniki i higieny. Na uniwersytetach lekceważy się jak dotąd te przedmioty. Na poszczególnych wydziałach lekarskich brak sprzyjającej rozwojowi tej nauki — atmosfery.

Spotykamy się z projektami (patrz artykuł dr M. Kacprzaka — „Wies” nr 44) wysyłania na wieś młodych lekarzy wyuczonych swej sztuki w nowoczesnie prowadzonych klinikach, „wyposazając” ich na nowe placówki w dziesięć palców i słuchawkę lekarską, stawiając przed nimi odpowiedzialne zadanie rozpoznawania jakże często niejasnych i skomplikowanych objaw chorobowych. Nowoczesny lekarz nie jest przystosowany do pracy w warunkach wiejskich, musi on mieć do pomocy aparat Rentgena, lampy, diatermię, laboratorium analityczne i cały szereg urządzeń diagnostycznych i leczniczych. Nowoczesny lekarz przygotowany jest i nastawiony tylko na takie rozpoznawanie chorób, które odbywa przy pomocy zwykle niezawodnych aparatów. Nie może więc dać sobie rady stosując starą metodę badania fizykalnego, sposobu — w związku z rozwojem techniki już zarzuconego. Nie może i nie chce wrócić do dawnych, złudnych sposobów rozpoznawania a tym bardziej leczenia.

Nie wymagamy wobec tego od młodych lekarzy, niedoświadczonych przecież, aby osiedlali się na wsi, aby nie będąc praktycznie do tego przygotowani, prowadzili Ośrodki Zdrowia. Nowe zdobycze medycyny komplikują sprawy rozpoznania i leczenia tak dalece, że wychodzący z uniwersytetu lekarz rzadko jest zdolny odrzucić do pracy samodzielnej. Zmuszenie go do takiej pracy może spowodować w rezultacie rozwój partactwa, a więc obniżenie społecznego stanu zdrowia i zdevaluowanie wartości nauki.

b) Produkuje się obecnie duża ilość lekarzy (za pięć lat będziemy ich mieli o osiem tysięcy więcej) i przeznacza się ich do pracy na wsi — w Ośrodkach Zdrowia, które mają być podstawowym elementem Publicznej Służby Zdrowia

Zawsza słycać biadania nad wyniszczeniem polskich lekarzy w czasie wojny. Jednak, w stosunku do innych obywateli, wszyscy lekarze byli w czasie wojny otoczeni opieką i jeżeli okupant „brał się” do nich — to zawsze na samym końcu. Podaje się autentyczne cyfry, ale jakże błędnie się je komentuje! Dowiadujemy się z artykułu dra Kacprzaka („Wies” Nr. 44), że ilość lekarzy w Polsce wynosiła w 1939 r. — 13.000 Istotnie, rocznik statystyczny podaje liczbę zbliżoną do 13 tysięcy. Obecnie mamy blisko 7 tys. lekarzy (w 1945 r. było zarejestrowanych 5.958). Czytelnik jest oczywiście zdumiony tak wielkim ubytkiem lekarzy i skłonny jest poprzeć każde działanie, mające na celu zwiększenie produkcji, bo tak to należy nazwać — lekarzy. Cyfry prawdziwe źle interpretowane ileż zamieszania mogą wprowadzić! Uzupełnijmy więc te obliczenia. Do liczby 7 tys. musimy dodać około 2 tys. lekarzy, odbywających służbę w wojsku. Będziemy wtedy mieli 9 tys. lekarzy, ale nie na 35 mil. mieszkańców lecz na 24 mil.

Ilość lekarzy przypadająca na 10 tys. mieszkańców wynosiła w Polsce, w 1939 r. — 3,2. Obecnie wynosi 2,8 na każde 10 tys. mieszkańców. Nie ma więc powodu do rozpacz, zwłaszcza że ilość lekarzy w wielu okręgach nawet się zwiększyła. Np. w powiecie miechowskim liczba lekarzy wzrosła dwukrotnie od 1939 r. Dobra i urodzajna ziemia miechowska może sobie pozwolić na luksus utrzymania aż 35 lekarzy.

Martwią się jeszcze inni o lekarzy Ziemi Odzyskanych, stanowiących 1/3 Polski. Brak lekarzy na Ziemiach Odzyskanych jest istotnie rażący, ale też trzeba sobie uświadomić, że mieszkańcy tamtych ziem to młodzi i zdrowi pionierzy, potrzebujący opieki lekarskiej przede wszystkim w nagłych wypadkach. Łagodni to znacznie naszą troskę o lekarzy na Ziemiach Zachodnich.

Nie pragnę bynajmniej przekonywać, że liczba lekarzy jest w Polsce wystarczająca i że bicie na alarm z powodu ich braku jest przesadzoną troską o upowszechnienie zdrowia. Myślę jednak że do tej kwestii należy

podejść i od strony społeczeństwa dającego istotne zapotrzebowanie na lekarzy. Ponieważ stwierdzono, że w krajach o wysokiej kulturze liczba personelu medycznego jest o wiele wyższa niż w Polsce, wyciągnięto wniosek, że sprawa kultury zdrowia jest funkcją ogólnego stanu społeczno-kulturalnego, a nie jakimś osobnym, oderwanym od innych zagadnieniem.

Wydaje się, że przeprowadzone ostatnio reformy społeczno-gospodarcze, zmierzające do podniesienia standardu życiowego każdego obywatela, wciągną go w ramach nowego ustroju na wyższy stopień najszerzej pojętej kultury, podniosą więc zatym społeczne zapotrzebowanie na lekarzy.

Przypatrzmy się jak to jest zagranicą. W porównaniu z innymi państwami europejskimi, (ZSRR posiada 5-ciu lekarzy na 10 tys. mieszkańców, państwa zachodniej Europy — przeciętnie 8 lekarzy na 10 tys. mieszk.), jesteśmy na szarym końcu ze swymi 2,8 lekarzami, przypadającymi na tę samą liczbę obywateli. Mamą za sobą tylko Jugosławię i Bułgarię.

c) Dziwimy się czemu szerzy się jeszcze w Polsce plaga znachorów, uprawiających swój zawód z większym niejednokrotnie powodzeniem niż lekarze. Przyczyną tego stanu łatwo można się dopatrzeć w złej organizacji leczenia i nieodpowiedniej organizacji studiów lekarskich, nie przystosowujących należycie młodych lekarzy do pracy samodzielnej. Wysłanie choćby i 100 tys. lekarzy na wieś nie rozwiąże tam problemu zdrowia, ponieważ lekarze ci nie będą mieli warunków do wykorzystania swych narażone teoretycznych wiadomości. Przeciętnie lekarz traktuje leczenie na wsi jako interes dochodowy albo — pole do doświadczeń teoretyczno-naukowych. Jest to wynik przyspaszania młodych lekarzy nie do praktyczno-społecznej ale naukowej działalności. Tu należy szukać źródła niechęci młodych lekarzy do pracy na wsi, a nie w złych warunkach mieszkaniowych czy braku kulturalnego otoczenia.

Rozwiązanie problemu opieki lekarskiej i sanitarnej na wsi można by widzieć w dwutorowości studiów lekarskich. Kształcono by 1) — lekarzy praktyków, mających doskonałe opanowaną technikę badania fizykalnego w chorobach wewnętrznych i dzieci i położnictwie 2) — lekarzy specjalistów, do których praktyki kierowaliby swych pacjentów na leczenie.

Taka dwutorowość nauk medycznych istnieje przecież zagranicą i nie przynosi ona szkody.

Powyższa reforma niesłaby za sobą poważne trudności i komplikacje — to też zorganizowanie dziś sieci szpitali powiatowych, zatrudniających lekarzy możliwie wszystkich specjalności, należałoby postawić na czele pierwszych zadań Publicznej Służby Zdrowia. Ośrodki zdrowia — ambulatoria mogłyby być narażone kierowane przez wykwalifikowane pielęgniarki.

Do sprawnego funkcjonowania powyższej organizacji potrzebna jest duża ilość samochodów do transportu chorych, na co obecnie możemy sobie pozwolić.

Uwagi o powszechnej organizacji zdrowia nie mogą rzecz jasna, zmieścić się w ramach jednego artykułu.

Pytanie, czy zdrowie społeczeństwa winno być finansowane przez jednostki aktualnie dotknięte chorobą, czy też finansowane społecznie — nasuwa się jako problem odrębny, wymagający osobnego rozważania.

Czekamy na reformy pomyślnie i owocne. Wydaje się, że postawa świata lekarskiego uległa widocznemu przemianom i jest do tych reform dojrzała. Świadcza o tym słowa dra Wrzyszczyńskiego: „...trzeba wyjść poza granice pojęć i zasad gospodarki swoim własnym warsztatem pracy na rzecz warsztatu społecznego...” („Nowiny Lekarskie” 15. I. 46).

Oprócz słów mamy do zanotowania i fakty. W Poznaniu pracuje w społecznych instytucjach Służby Zdrowia już — 98% lekarzy.

Wies

zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym, wpłacając należność na konto:

PKO Łódź VII — 1080, z naznaczeniem na odwrocie przekazu: „Prenumerata „Wsi”.

Należy czytelnie podać nazwisko i adres zamawiającego.

Należność za prenumeratę wraz z przesyłką wynosi:

miesięcznie	40 zł
kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł

GDYBY TE RZECZ namalował na obrazku albo sfotografował wiersze, toby tak właśnie było, wygląda bowiem na zmyślenie, a jest prawdą. Duży, ładny, nowy dom i niska, stara, mała chałupka. Dom należy do Fedusia, a chałupka do Zarembiny. Oddzieliła te dwa budynki od siebie miedza: w lecie obrośnięta pokrzywami, a w zimie przez pokrycia śniegu wyglądająca smutne bądle podróznika, którego nasiona wydziobały szczytły.

Domy nie mówią, ale gdyby mogły, toby budynek Fedusia powiedział o sobie:

— Jestem nowy, pobudowano mnie w roku 1920; mam ściany ze rżniętych bali sosnowych ułożonych jeden na drugim, gdzie między nie, dla uszczelnienia nałożono warstwę papy, dach mam z blachy, duże okna i podłogę, stoję na podmurówce z cegły; podłoga z desek jest rzeczą zwykłą należącą do wyposażenia szanującego się domu; piec i kominy postawiono z kafli, ażeby godnie zamknąć listę moich wspaniałości.

Chałupka Zarembiny powiedziała by bez zająknięcia:

— Pobudowano mnie w roku 1876, jestem więc już stara; dach zzieleniał od mchu, który na mnie wyrósł; moje bale są ociosywane siekierą, między nie nałożono dla uszczelnienia mchu, a na skrzyżowaniach posiadają długie staroświeckie węgły; okna mają drobne szybki, przekrzyżowane cienką ramą; okap słomiany podpierają wysunięte belki; na glinianym tokowisku sklecono z ceglanej surowki kominiek do palenia i gotowania; nad nim nawisa zakopcony kaptur, w którym muchy w lecie i w zimie urządzają sobie siedlisko, a muchy nie są oznaką nadmiernego bogactwa.

Kiedy Feduś stanął na schodach od podwórka w niedzielę rano i krzyknął na parobka w głąb budynków:

— Zaprzagać!

...Widziała go Zarembina jak na dłoni oknem ze swojego mieszkania. Buty z cholewami wyczyszczone miał świątecznie, w czarnym ubraniu pod brodą bieleł się trójkąt świeżej koszuli, kosmyk mokrych włosów zaczęsan nad czołem: całą gębą gospodarz.

W duszy Zarembiny dojrzewa plan, a ręce go wykonują. Sama prawie jest już gotowa, tylko narzucić chustkę. Kończy czesanie Antolki, zaplata jej włosy w dwa myśie ogonki, przystroja różowymi kokardami, zamykając drzwi i wychodzi.

Niedziela na wsi. Po domach i na drodze, w podwórkach i ogrodach rozpanoszyła się cisza. Nawet drzewa stoją zasluchane w spokoju dnia. Liście zwisły próżniaczko, gałęzie nieruchomo tkwią.

Antolka wisi matce przy boku i razem idą wzdłuż domów. Jest na prawdę świątecznie. Przez szyby wyglądają kwitnące pelargonie. Ludzie starzy, którzy nie zamierzają iść do kościoła, siedzą na progach domów i w poczuciu zupełnej swobody kreślą gałazką na piasku „kozie obrazki”. Zarembina miała to wszystko bez zwracania specjalnej uwagi — zaprzęta ją myśl jedna: zabierze ją też Feduś do kościoła czy nie zabierze? Pojadą bryczką tę długą drogę czy nie pojadą? I będą musieli iść pieszo? Przecież się nie gniewają — myśli pocieszająco — a wczoraj nawet pella u niego marchew.

Idą przedko — czas nagli. Zdażyć trzeba na czas. Tak jak wszyscy ludzie. Antolka ścisła w lewej ręce nagięte okienniki w rulonik czystej chusteczki do nosa, prawą trzyma się małego palca matki, żeby jej było lżej iść i żeby mogła nadszyc jej krok.

W pewnej chwili cichną, mierzchną, zamykają się w sobie i jakby kurczą. Żeby tam na tej bryczce nie pomyśleli, że one czekają na zabranie. A za nimi już słychać tupanie końskich kopyt po cieplej i suchej ziemi i stuka radośnie bryczka: koła wypukają drażniący trajkot, prowadzą grę dalekiej drogi.

Wciąż?.. Ciekawe. Matka z córką zamierzyli w oczekiwaniu.

Za plecami rozlega się krótkie, ale jakby dyskretne cięcie batem — dwa razy. Trucht koni robi się zżwawszy. Zarembina dobrze wie, co to znaczy... Feduś podcina konie, żeby przędzej szły i żeby je przędzej minęły... Tak — tak, to stara historia!

Widzą kątem lewego oka. Wszystko. Wyruszają się najpierw głowy koni, którym u oczu dyndają różowe pedzelki z włośzki zawieszane na rzemkach. Potem szyje obramione w czarne chomata i całe w grzywach, za nimi brzuchy opięte w szerokie pasy uprząży, dalej ruchliwe zady, na których drgają ogony zawiazane w przemysłny węzeł.

Potem ludzie. O, widzą wszystko dokładnie, choć nie patrzą. Feduś siedzi na koźle z parobkiem, który powozi. Na ruchomym siedzonku tyłem do kierunku jazdy pomieściły się dwie córeczki Fedusia. Irka i Zenka, rówieśniczki Antolki Zarembiny. Na tyle uroczystości pomieściła się Fedusiowa z własną matką.

W oczach niepatrzących Zarembiny i córek przesuwa się całe zjawisko — choć minęło już dawno — cał po calu. Tak wolno jakoś i nieporadnie, że mają czas zauważyć wielkie motyle z błękitnych wstążek na głowach córek, rówieśniczek Antolki i bliźniaczek, czarną suknię starej matki, na której złożyła pobożnie ręce uzbrojone w oplecioną dokoła palców koronkę i w grubą książkę do nabożeństwa. A Fedusiowa ma taką torbę jak panie z miasta...

Widzą, że na tej bryczce wszyscy patrzą uparcie wprost przed siebie, jakby tam coś było do zobaczenia tak pilnego, czego żadna miara przeoczyć nie można.

Idącym kobietom został teraz do oglądania żółty tył bryczki z wąską poręczą wpinającą się w plecy Fedusiowej i jej matki. Konie tętnią już ciszej, pojazd trajkocze słabiej, spod kół wywijają się dwa pasemka nikłego pyłu.

Teodor Goździkiewicz

TRIUMF ZAREMBINY

Przejechali.

Przejechali na prawdę.

Zarembina spogląda z góry na swoją córkę Antolkę, widzi w jej ręczce zwisającą główkę pomarańczowego kwiatka, a potem oczy przenosi na drogę przed sobą. Ech, przecież sama nie idzie — pociesza się: idą ludzie przed nią, idą za nią. Jednak ścieżka, po której stąpają, wydłuża się w nieskończoność, zwięża do linijki jak we śnie. A na tej drodze rozstawione są jakieś zdarzenia, które miała jak stacje Męki Pańskiej. Wykreśliła się myślą z koliska zdarzeń bliskich, realnych, a uciekła do rzeczy dawnych, które mają jej coś powiedzieć, w czymś coś wyjaśnić.

Jak to dziwnie jest koło niej. Świat podzielił się na nierówne zjawiska i podsuwa obraz na obrazem. Tak przecież jest wszędzie: koło Witkowskiego jest Magrys, koło Dziepuli — Pierzchała, koło Zarobka — Gołębiowski, a koło Fedusia — ona Zarembina...

Matka jej, kiedy żyła, zawsze opowiadała ciekawe rzeczy: — Pamiętaj, Małgosiu... — od tego ciągle zaczynała. Pamiętaj i pamiętaj, tak jakby od tego pamiętania wszystko zależało. A chodziło tam o proste sprawy. Matka matki Zarembiny czyli jej babka była też z Fedusiów. Ależ cóż: syn był posłuszny, ożenił się bogato, został na gospodarce, córka zaś uparła się i wyszła za gołego chłopaka bez ziemi, który tylko umiał ładnie gwizdać i tańcować. Wydziedziczonej pozwolono zaledwie na ojcowiznie postawić domek. Od tego czasu zaczęła się długa dola wyrobku, pogardy i upokorzeń.

Ale matka uparcie powtarzała swoje: — Pamiętaj, Małgosiu, my z bogatej rodziny pochodzimy...

W czasie wojny w roku 1914 na wiosnę wyszła za Zarembę. Niby to się starała na kolej, niby to chciał wyjść ze wsi, ale w rezultacie zabrali go do wojska i w roku 1915 zginął pod Królewcem. Jest teraz wdową i nie wyszła drugi raz za mąż, ale może wyjdzie, jeśli się kto chętny trafi. Chociaż na wyrobnice z dzieckiem to tam tak bardzo chłopcy nie leca...

Droga się kończy, obrazy z przeszłości nleżą, koło nich rósł się od ludzi. I oto kościół. W bramie żegnają się święconą wodą, z powodu gorąca do środka nie wchodzi, tylko kłękają z boku na trawie przy dzwonnicy i zaczynają się modlić. Przyszły w sam czas. Zaraz będzie procesja. Kościółny już rozdał świece, a bracia zapalają je ostrożnie, chroniąc zgryźniętymi dłońmi od wiatru i ustawiają się w dwa rzędy, które obejmą księdza z monstrancją, kiedy wyjdzie z kościoła.

Z mrocznego środka świątyni ponad głowami ludzi ścibionych w drzwiach wejściowych dolatuje ostyś śpiew, a tu na cmentarzu w konarach stuletnich wiązów drą się wróble, tam dalej pogwizduje szpak i od strony plebanii dolatuje pohukiwanie grzywacza. Widocznie ptactwo nic sobie nie robi z nabożeństwa ludzi, tylko odprawia swoje uroczystości.

Nareszcie procesja. Wylewają się tłumy ze środka, brzmie śpiew, idą długimi rzędami bracia, potem niosą chorągwie wysoko na kijach, a potem...

Biała poduszkę z czerwonym sercem nieśie organistka, ale dwie przednie szarfy — wyciągnięte, szerokie, okazałe — niosą obie Fedusiówny. Są ubrane na biało, a przecież miały inne sukienki. Widocznie zdażyły się przebrać, aby nie zgnieść okrycia na bryczce. I to akurat od dzisiaj, jak je to tatulo wkreślił...

A oto on sam: trzyma proboszcza pod rękę z jednej strony, a z drugiej administrator z majątku. Ho — ho! Zarembina czuje wpływ gryzącej goryczy, jakby osiedlił się pod jej sercem. Aż trudno oddychać. Aż trudno mówić. A mówić trzeba, bo Antolka wyciąga szyję, pochyla głowę matce od ucha i szepcze:

— Widziała mamusia?

— Mów pacierz, mów! — przykazuje jej dobrodliwie jak trzeba.

Sama jednak myśli niezależnie od wszelkich wewnętrznych nakazów. Jak się to dzieje: tam w podwórku we wsi Feduś ma czternaście krów i trzy konie, a ona tylko jedną koźle, Feduś mieszka w nowym, przed trzema laty postawionym domu, a ona w czterdziestoletniej chałupce, Feduś obsiewa trzydzieści sześć morgów pola, a ona tylko ten ogródek wokoło domu — ale nie jest to tak przykre, tak palące, jak to, kiedy tu widzi tamte bogaczki wyniesione, wywyższone, na oczach wszystkich ludzi z całej parafii, a jej córka tylko szepcze na ucho:

— „Widzi mama?”

Od roku blisko Antolka chodzi do szkoły. Matka do śniadania czesze jej głowę, a po jedzeniu zawieszając córkę przez ramię płóciennej torby z książkami i Antolka idzie razem z innymi dziećmi. Nie narzeka sobie Zarembina, choć do południa nie ma kto kozy paść. Zdolność filozoficznego patrzenia na świat w jej obrębie segregowania zjawisk podszeptuje kobiecie w rzadkich chwilach zwątpień, że tak musi być, kiedy jest, bo co by robiła na przykład, gdyby była sama? Gdyby nie miała córkę w ogóle?

Bah! — nie dała się tak przecież na początek, kiedy Antolce trzeba było stawić się w miejscowej akademii powszechnej. Nie: żeby ludzie nie wskazywali na nią palcem i nie mówili — wyrobnica, a jak się to z dzieckiem do szkoły pcha! Słowem nie sięgała tam ręką, gdzie nie upoważniały ją warunki życiowe. A tymi warunkami była ziemia. Tolka kończyła siedem lat w grudniu, więc we

wrzesniu według interpretacji matki nie tak bardzo należało jej się iść. Czekala całe trzy dni. Ale młoda nauczycielka była osobą energiczną. Wiedziała, jak działać. Czwartego dnia o południu opiekun szkolny zapukał w okno:

— Zarembina!

— No, co tam?

— Jutro dziecko do szkoły. Pani mówiła.

— A jak nie pódzie?

— To kara.

— Eee tam, kara! Zaro kara! Przecie jo

matka!

— Tero nie takie czasy: matka nie matka...

— Eee, jo tam nie chodziłam i żyje! Ta

downi...

— Downi nie downi, a dziecko jutro do

szkoły...

— A jak nie pódzie?

— To kara!

Głos opiekuna jest surowy ale spokojny. Spokojny, bo wie, że słuszność jest po jego stronie, a surowy — bo przedstawia sobą prawo.

Wysłannik poszedł dalej, a ona jeszcze dziś jak się nie rzuci do roboty! Trzeba było zbadać dziesiątki szczegółów około kiecczka, głowy, butów i pończoch, więc ulegając przesadzie ludzi, którzy niespodzianie awansowali w wymarzoną przez nich kierunk, drugiego dnia wysłała córkę ubraną tak odświętnie jak na odpust. Przecież teraz nikt nie powie, że się sama pchała tam, gdzie jej się nie należy — samą po nią przysyła!

Dni idą jeden po drugim: w ramach tygodnia, w ramach miesiąca. Rano od ósmej do dwunastej Antolka siedzi w szkole, a po obiedzie pasie koze. Wielkie zjawisko nauki nie przeszkadza uprawiać tak przyjemnego zajęcia, jak dbałość o stan koźlego żołądka. Stąd Antolka obnosi swoją perkalową sukienkę z codnia po miedzach, rowach i przydrożkach. Zarembina nieraz w przypływie srogości, ulegając nakazowi dobrej matki bierze Antolkę przed siebie, każe jej patrzeć sobie w oczy i pyta:

— Ty, słuchaj: uczysz się?

Antolka trzepie powiekami z wrażenia i na znak poczuć ważności chwili mówi z pozorami niechęci:

— Uczę się...

— No, pamiętaj: ucz się, bo jo nimogłam.

Tacy jak my się nie mogli uczyć...

— Czemu?

— Bośmy nie mieli ziemi...

Ile razy Zarembina o tym mówiła, tyle razy opanowywała ją uczucie krzywdy, więc otrząsając z siebie napięty bezrozumny wzruszenia powróciła do głównego nurtu swoich badań:

— A nie bije cie pami?

— Nie, pani nikogo nie bije... — oświadczyła z przejęciem, a potem jakby chcąc urealnicić wybielony obraz swojej przełożonej dodała — ino czasem krzyczy...

A na to matka:

— No, muszę jo się zapytać nauczycielki,

czy to na prawdę...

— To się pytajcie...

Słowa młodej adeptki szkolnej są pewne i lekko chmurne, więc matka daje jej w rękę pół okrągłego jak dysk placka z żytniej maki i wypycha za koźle.

— Paś do wieczora — upomina — a ino szkody nie zrobi!

Jednego razu z początku nauki korzystając z nieobecności córki poddała Zarembina gruntownemu przeglądowi szkolną torbę swojej uczennicy. Ale zawartość znalazła bardzo chudą. Był tam tylko zeszyt i ołówek. Odwlekała łakomie jedną karłkę, drugą. I patrzyła. Stronice były dość brudne, na nich stały tam jakieś kreski, kółka, laseczki, w jednym miejscu było coś jak kogut, w drugim jak stonoga. Nic nie rozumiała. Liter tam nie było, przecież je znała: były foremniejsze.

— Jak też to teraz uczą!... — westchnęła z politowaniem — ani książki, ani linijki, ani rysika...

Wieczorem nasiadała córkę:

— Antolka, książki ci nie trzeba?

— Nie.

— Jak to nie, a na czym wy się uczyta?

— Pani bajki opowiada, a potem je rysujemy...

Zdziwienie Zarembiny pogłębiło się jeszcze bardziej, kiedy się przekonała i na swoim dziecku, że ludzie prawdę mówili o nauczycielce, bo to z początku zamiast czytania bawiła się tylko z dziećmi. Ulegając przekonaniu, że jako niewykształconej nie wypada jej rzucić na nikogo kamieniem potępienia Zarembina zostawiła przedstawicielkę racjonalnego patrzenia na świat w spokoju.

Tylko nieraz rano, kiedy wyglądała za Antolką i widziała ją, jak się wchodziła po równo ze wszystkimi dziećmi w długi rząd zmierzających do szkoły pierś jej się podnosiła uczuciem dumy: jej dziecko, bezrolnej wyrobnicy, idzie razem ze wszystkimi tak, tak jak idą średnicy z „bogolami”.

Skończył się październik, w listopadzie drzewa ogolociły się zupełnie i Zarembina swoją koźle zamknęła w szopie. Połem spadły przymrozki i w wolne popołudnia Antolka dukwała nad książką. To tylko miała do roboty. W śniegach nadszedł grudzień i zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Tego dnia Antolka przyszyła ze szkoły i od razu z proga mówi do matki:

— Mamu, musicie przyjść do szkoły jutro

będzie zebranie.

Zarembina od kółka z łnem podniosła na nią oczy, więc córka widząc jej zainteresowanie dodała jakby od niechcenia:

— A ja będę mówiła wierszyk... Ze Staśkiem Budziakiem...

Nie — ta Antolka sfiksowała doprawdy. Matka ma z nią od niejakiego czasu prawdziwy kłopot. Trudno jest Zarembinie za nią nadążyć. Nie powie jej nic wprost, tylko jeśli coś jej trzeba, kołuje nad tą sprawą bardzo dużym ogródkiem.

Kiedyś — kiedyś nie powiedziała matce wprost, że jej potrzebna jest książka — nie. Tylko uwiesiła się jej u ręki i mówi:

— Mamusiu, wiesz co, a to mi się śniło, że miałam taką ładną książkę. Były w niej takie różne zwierzęta, a pod nimi stały wierszyki napisane... Tak czytałam! Tak czytałam!

Albo ile to razy mówiła do niej w ten sposób:

— Mamusiu, znalazłam na drodze ołówek, taki był zielony, o tyle dłuższy od mojego. Ale mi zginął znowu...

Więc matka tylko się przekonywała, że córce potrzebny jest nowy ołówek. To tkwienie Antolki w innym świecie, do którego nie zawsze dopuszczała matkę, spowodowało, że Zarembina wszystkie jej słowa traktuje podejrzliwie i stąd owa wiadomość o wierszyku mówionym ze Staśkiem Budziakiem nie wydała jej się prostą, ale co by się za tym kryło, nie mogła jeszcze przewidzieć.

Na drugi dzień ogarnęła się Zarembina na pół świąteczne i poszła do szkoły. Przy burdynku biegała hurma dzieci, a w izbie szkolnej ugniatali się rodzice. Były same prawe matki, rzadziej jakiś ojciec, widocznie kobiety traktowały to, jako okazję do wyjścia z domu. Chłopy to tam przecież wiadomo częściej mieli okoliczność wyjść na szerszy świat. W rumociu ciszących się dzieci weszła nauczycielka i po uciśnieniu się rozgwaru zaczęła odczytywać bardzo długo oceny postępów dzieci w nauce!

Kiedy Zarembina usłyszała imię i nazwisko swojego dziecka, uczuła młodość w sobie. Jakby ją ktoś za gardło chwycił. Krew niewstrzymaną falą rzuciła się jej do twarzy i odpłynęła szybko w dół. Nie słyszała przecież swojego nazwiska wymówionego publicznie, jak w ten czas, kiedy odbywały się jej zapowiedzi ślubne.

Przez uciekający szum w uszach połyssała:

— Antonina Zarembianka, uczennica pierwszego oddziału, córka Małgorzaty i Jana, urodzona dnia 12 grudnia 1914 roku w Świnicach: sprawowanie — bardzo dobry, religia — bardzo dobry, język polski — bardzo dobry, arytmetyka... — brzmi nieco ścięplony głos nauczycielki zmęczony tylokrotnym wyczytywaniem.

Dalej Zarembina nic nie słyszy i nic nie rozumie. Objął ją całą płomien radości i przeniknął do rdzenia. Jej dziecko na oczach tylu ludzi... I tyle pochwał! Język jej skołcał, głowę ma całą w ogniu i w oczach jakby mgłę. Ludzkie postacie a nawet szczupła figura nauczycielki czarno ubranej zatarły się zupełnie, a po'em rozpłynęły w nic. Coś się koło niej dzieje w dalszym ciągu, zachodzą jakieś zmiany i zdarzenia, ale już nic z tego nie łapie. Siedzi tu, a jakby była nieobecna, słucha a nie słyszy. Dzieje się z nią coś dziwnego: w uszy jakby jej ktoś natkał wały, a do oczu nasypał piasku... Cóż ją przecież może jeszcze obchodzić? Co jeszcze?

W tym wielkim nieopanowanym chaosie zdarzeń wewnętrznych, myśli i uczuć dolatuje ją spokojny, ale donośny i tą samą radosną rutką podbity głos nauczycielki:

— A teraz na zakończenie uroczystości naszego najłepsza uczennica Antonia Zarembianka i Staśkie Budziak powiedzą wspólnie wierszyk.

Otwiera Zarembina oczy, przeciera mgłę i widzi, że na małą scenkę z desek ubraną llnianymi prześcierałami i kilkoma chorągiewkami biało-czerwonymi wchodzi Antolka, a za nią — chłopiec. Są drobni, niepozorni, pocieszni. Nieporadnie frontują się do siebie twarzami, pozorując spokój martwymi uśmiechami przyklepionymi do warg, czekają na znak.

Wreszcie Antolka zaczyna cienkim, sztucznym dyszkancikiem:

— Kto ty jesteś?

A Staśkie głosem, jakby miał utonąć, porwyczo odpowiada:

— Polak mały...

Znowu Antolka chrypi wyuczone:

— Jaki znak twój?

A Staśkie Budziak odzłupuje:

— Orzeł Biały...

Dalej Antolka wyrębuje sucho:

— Gdzie ty mieszkasz?

A Staśiu w te pędy, jakby się bał, że nie zdąży:

— Między swemi...

Antolka (szybko):

— W jakim kraju?

Staśkie (zawsze porwyczo)

— W polskiej ziemi...

Antolka:

— Czym ta ziemia?

Staśkie:

— Mą ojczyzną...

Porwała Zarembina płacz. Wewnętrzny płacz radości. Byłaby się rozbezczała głośno, gdyby nie było jej wstyd tak wielkiej gromady ludzi, więc tylko ściągnęła chustkę bardziej na oczy, ogarnęła boki, żeby nikt nie zauważył łez i pochylała głowę. Ma, ma za swoje, za wszystko! To jej dziecko tam na scenie mówi tak pięknie, a tyle ludzi słucha!.. Jej, a niczyje inne. Widzą ją wszyscy, Antolkę, nawet Fedusiówny, nawet Fedusiowa, która usiadła tam przy brzegu, niedaleko desek sceny. I cóż ona, Fedusiowa po prawdzie znaczy, co znaczą jej trzydzieści cztery morgi, jak jej Antolka tu, przy tylu ludziach... A Fedusiówny, Irka i Zenka? Stoją tam na boku izby przy ścianie i gapią się z otwartymi ustami, jak jej córka deklamuje... Jej, wyrobnicy córka przed wszystkimi — Antolka Zarembianka.

GŁOSY O SZKOLNICTWIE

STANISŁAW KULCZYŃSKI

EUGENIA KRASSOWSKA

Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego

Viceminister Oświaty

Tegoroczne wpisy na wyższe uczelnie odbywały się pod hasłem zmiany składu społecznego młodzieży studiującej. Wprowadzone nowe przepisy wpisowe poprawiły nieco istniejący stan rzeczy na tym odcinku. O ile jednak sędzić można z przewidywań, jeszcze cyfr, rezultatów osiągniętych nie odpowiadają oczekiwaniom. Okazało się, że trudności są duże i nie tkwią tam, gdzie ich oczekiwano. Rozwijały się przy tym pewne złudzenia. Rozwijały się przede wszystkim młodzi, którzy wyższe uczelnie odmawiały wstępu szerokim rzeszom młodzieży garnącej się do studiów wyższych. Olbrzymia bowiem większość młodzieży napływającej znalazła pomieszczenie w szkołach akademickich. Ta, która odpadła, odpada wyłącznie na skutek istotnego braku kwalifikacji. Stosunek liczbowy młodzieży napływającej do szkół wyższych do młodzieży przyjętej na studia wyższe nie budzi niepokojów, nie wykazuje bowiem żadnej jaskrawej dysproporcji. Wyraźny niestosunek

między ilością zgłaszających się i ilością przyjętych występuje jedynie na niektórych wydziałach, tak zwanych chłebowych, jak lekarski, farmaceutyczny, stomatologiczny i niektóre wydziały techniczne. Nie przyjęta na te wydziały młodzież znalazła pomieszczenie na innych wydziałach, które — jak np. humanistyczny — nie wyczerpały w zupełności granicy określającej ich pojemność. Z punktu widzenia społecznego i z punktu widzenia planowej produkcji inteligencji nie jest rzeczą szkodliwą, że ograniczona pojemność wydziałów lekarskich i jemu podobnych zmusza młodzież do obrabiania innych zawodów. Stosunkowo wielki pęd na wydziały lekarskiej, zaznaczający się od kilku lat na naszych uczelniach, ma swoje źródło przeważnie nie w zamiłowaniu do tego trudnego i społecznie ważnego zawodu, ale w motywach materialnych, których popierać ze szkoda dla innych równie ważnych zawodów nie ma powodu.

Niedostateczny w ogólnym bilansie napływ młodzieży chłopskiej i robotniczej do szkół wyższych ma swoją przyczynę nie w ciasnocie uczelni akademickich i w zamykaniu do nich dostępu podstawowym warstwom społecznym. Przyczyną tkwiącą głębiej, na szczeblu szkoły średniej, jest niedostateczność jeszcze zasilanej przez chłopską i robotniczą młodzież, albo jeszcze głębiej w trudnościach ekonomicznych ubogiego chłopca i robotnika nie pozwalających na finansowanie kształcenia dzieci, albo — czego również nie można pominąć — w małej atrakcyjności wykształcenia wyższego w oczach dobrze sytuowanych rodzin, których zawody (sklepiki, warsztaty, wielomorgowe gospodarstwa) obiecują młodzieży dziedziczenie produkcyjnej własności.

Pomnażanie kadr inteligencji i zasilanie warstwy intelektualnej świeżym dopływem z warstw podstawowych jest postulatem chwili o zasadniczym znaczeniu. Trzeba jednak czynnik społeczny powołać do rekonstruowania nowych kadr intelektualnych z chłopsko-robotniczej — warstwy ustawic w dwóch punktach. Kazać mu działać nie tylko u bram szkół akademickich, gdzie na wielu wydziałach nie ma kogo rekrutować, ale przede wszystkim na szczeblu niższym, gdzie zachęta i pomoc społeczna może istotnie wyp-

chnąć na drogę studiów poważne ilości dzieci chłopskich i robotniczych.

Należałoby rozważyć, czy dla zadań tych nie słusznym byłoby powołanie specjalnej społecznej organizacji. Mam na myśli Stowarzyszenie Przyjaciół Szkół Akademickich, do których wciągnąć należałoby szerokie koła świata pracy. Regionalne koła takich stowarzyszeń mogłyby daleko skuteczniej — każde na swoim odcinku — dobierać, opiniować i zachęcać do studiów wyższych młodzież, znaną sobie z bezpośredniego kontaktu. Na koła te można by jednocześnie przerzucić część obowiązku materialnej pomocy studiującej młodzieży. Mobilizacja środków materialnych na studia byłaby łatwiejsza i wydawniejsza, gdyby koła regionalne świadczyły ją na rzecz swoich własnych, przez siebie wyszukanych na drodze studiów pupilów, niż gdy zdobywanie środków od społeczeństwa odbywa się na rzecz anonimowych akademików.

*) Redakcja z projektem p. Rektora Kulczyńskiego nie solidaryzuje się. Uważamy bowiem, że proces masowego wprowadzania na Uniwersytety młodzieży chłopsko-robotniczej powstał w wyniku dokonanych przemian ustrojowych w Polsce. Źródłem tego procesu są siły polityczne mas ludowych i w ich orbicie działające instytucje oświatowe, społeczne i gospodarcze. Nie ma powodów do twórczenia nowej organizacji społecznej (o rozgałęzionej sieci), która i tak w praktyce składała by się z reprezentantów tych sił społeczno-politycznych, jakie realizują ustrój Polski Ludowej; jej nowym polegałoby jedynie na zatartiu klasowo-politycznej odpowiedzialności za rekrutację młodzieży do wyższych uczelni. „Czynnik społeczny” oznaczałby tu powrót do filantropijnej opieki i poszukiwanie kandydatów właśnie jak mówi Rektor — „pupilów”. W wypadku zastąpienia przez Tow. Przyjaciół Szkół Akademickich organizacyjnych czynników politycznych i z nimi związanych terenowych czynników działania kulturalno-gospodarczego — nastąpiłoby całkowite zagubienie związku pomiędzy klasowym awansem młodzieży chłopskiej i robotniczej a niepolityczną, filantropijną organizacją rekrutacji „pupilów”.

Co akcentujemy, to konieczność wysiłku politycznych organizacji (w ich zasięgu społeczno-gospodarczym), rozłożonego na cały rok.

To jest okres rekrutacji najmniejszej. W tym czasie trzeba typować i sprawdzać kwalifikacje intelektualne i społeczne, oraz warunki socjalno-materialne kandydatów. Dopóki (jak statystyka wykazuje) z roku na rok możemy podnosić tylko w procentowych dawkach ilość młodzieży chłopsko-robotniczej na Uniwersytetach (1946-47 — 11 proc., 1947-8 — 30 proc.), dopóty tym usilniej musimy dbać, aby na Uniwersytety szła młodzież („reprezentująca” lud) — najzdolniejsza, najbardziej uspołeczniona i najbardziej.

P. S. Otwieramy w tej sprawie dyskusję, prosząc o wypowiedź, przedstawiającą konkretne przykłady metod rekrutacji na przestrzeni gminy, powiatu, województwa, oraz podające projekty rozwiązania w terenie zagadnienia rekrutacji.

Redakcja.

ZENON WRÓBLEWSKI

Przewodniczący Akademickiego Związku Młodych „Życie”

Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że już sama struktura organizacyjna szkoły sanacyjnej powodowała samoczynną selekcję społeczną uczniów. I tak, gdy młodzieży chłopskiej w I klasie szkoły powszechnej było 60,1%, a robotniczej 27,6%, to na I roku wyższych uczelni odpowiednio cyfry wynosiły zaledwie 14,3% i 10,2%. Proces ten wygląda odwrotnie, jeśli chodzi o dzieci klas posiadających i ludzi wolnych zawodów (w I kl. szkoły powszechnej dzieci klas posiadających 9,7%, wolnych zawodów 0,2%, na I roku wyższych uczelni odpowiednio 32,3% i 6,5%).

Okres okupacji spotęgował jeszcze ten proces selekcji, boć przecież z tajnego nauczania mało korzystały synowie i córki robotników i chłopów. Potwierdza to zresztą skład społeczny studentów wyższych uczelni w roku akademickim 46/47, przedstawiający się według danych Rady Szkół Wyższych następująco: młodzież robotnicza 7%, chłopska 11%, inteligencji pracującej 40%, wolnych zawodów 9%, innych 33%. Cyfry te wynikają z faktu nieprzygotowania do studiów wyższych młodzieży klas pracujących, gdyż musimy sobie uprzytomnić, że selekcja społeczna odbywała się dla młodzieży chłopskiej już na szczeblu szkoły powszechnej, a dla młodzieży robotniczej w szkole średniej.

W Polsce Ludowej podjęto szereg akcji mających na celu zmianę tego stanu rzeczy. Reforma szkolnictwa, szeroko rozbudowana sieć wieczorowych szkół dla dorosłych, skrócony rok studiów na uniwersytetach, skrócone kursy przygotowawcze, społeczna komisja decydująca, o przyjęciu na wyższe studia — oto środki, które dają już poważne rezultaty. I tak np. na kursach przygotowawczych młodzież chłopska i robotnicza stanowiła 71,5% na kursie wstępnym 49%, na I roku studiów

w obecnym roku akademickim według niepełnych jeszcze obliczeń ponad 30%.

I dlatego, widząc już na tym odcinku znaczną, choć niewystarczającą poprawę, tym więcej uwagi musimy temu zagadnieniu poświęcić.

Państwo nie lekceważy problemu. O ile stypendia państwowe stanowiły w roku 37/38 zaledwie 6,5% budżetu przeznaczanego na szkolnictwo wyższe, to w roku 1947 pomoc dla młodzieży studiującej stanowi 7,9% budżetu, a w r. 1948 przewidziana jest na 19,5%. Młodzież akademicka korzysta ze stypendiów państwowych nie tylko za pośrednictwem Ministerstwa Oświaty, ale i innych resortów państwowych (głównie Ministerstwa Przemysłu i Ministerstwa Zdrowia), poza tym istnieją społeczne źródła pomocy młodzieży studiującej.

W stosunku do potrzeb jednak pomoc Państwa i społeczeństwa wydaje się jeszcze za małą. Rozumiemy, że zniszczenia wojenne i potrzeby naszej odbudowującej się gospodarki nie pozwalają na wydatne zwiększenie tej pomocy ze źródeł państwowych. Dlatego należy nam szukać innych dróg.

Drogi te widzimy 1) we wprowadzeniu opłat administracyjnych dla grup studentów zamożnych,

2) w zwiększeniu pomocy społecznej, co w dużej mierze zależy i od postawy młodzieży akademickiej (TPMSW),

3) w usprawnieniu podziału funduszy stypendialnych poprzez centralizację akcji pomocy i ustalenie właściwych kryteriów kwalifikacji do otrzymywania stypendium. Zagadnienie to wymaga rozpracowania i ze strony władz oświatowych i samej młodzieży.

Sprawa warunków pracy młodzieży akademickiej i jej sytuacji materialna budzi powszechne, zrozumiałe zainteresowanie. Niewątpliwie młodzież wciąż jeszcze pracuje w warunkach bardzo ciężkich, niewątpliwie rząd i całe społeczeństwo muszą zdobyć się na jeszcze większy wysiłek dla poprawienia warunków bytu młodzieży studiującej. Każdy zresztą obiektywny obserwator wysiłki te bez trudu może zauważyć. Jasną jest rzeczą, że rozwiązanie tego problemu powiązane jest ściśle z całokształtem problematyki gospodarczej. W miarę stabilizacji warunków gospodarczych, w miarę wzrostu dochodu społecznego ulega i ulegać będzie poprawie sytuacja materialna studenta. Nie można jednak stawiać zagadnienia demagogicznie „młodzieży wszystko się należy od państwa” i domagać się tego rozwiązania tylko na planie dochodów państwowych. Fundusze Ministerstwa Oświaty na pomoc młodzieży nie są wystarczające, pamiętać jednak trzeba, że na pomoc tę składają się fundusze innych resortów, które w sumie sięgają niemal wysokości kwot Ministerstwa Oświaty. Likwidacja kart żywnościowych pozwoliła Ministerstwu Oświaty uzyskać pewne sumy, które mogą być zużyte na pomoc młodzieży istotnie tego potrzebującej. Państwo nie może udzielać młodzieży pomocy w postaci kart żywnościowych niezależnie od jej sytuacji materialnej. Jest to sprzeczne z zasadą sprawiedliwego podziału dochodu społecznego, zasadą, o którą toczy dziś walkę cały świat

pracy. Usprawnienie systemu podziału stypendiów ściśle kontrola przydziału miejsc w domach akademickich, usprawnienie gospodarki Bratniej Pomocy — oto nowe posunięcia Ministerstwa Oświaty, które pozwolą dysponować w sposób bardziej oszczędny i celowy naszymi skromnymi funduszami.

Sądzę, że w bieżącym roku zwiększy znacznie zasięg swoich wpływów i potrafi zmobilizować poważne fundusze Towarzystwo Pomocy Młodzieży Szkół Wyższych.

Nie rozwiązaliśmy sprawy bytu młodzieży akademickiej bez aktywnego udziału samej młodzieży, bez właściwej jej postawy. Młodzież musi sobie uświadomić, że jej pozytywna twórcza postawa ułatwia państwu rozwiązywanie wszystkich problemów odbudowy i przełamywanie trudności gospodarczych. Młodzież nie może zajmować postawy bierności obserwatora, któremu „wszystko należy się od państwa”, musi z całym narodem dźwigać na sobie trud odbudowy i przebudowy kraju. Musi z wielką czujnością gospodarować poważnymi funduszami, na które składa się praca polskiego chłopca i robotnika, a które przechodzą przez jej ręce za pośrednictwem Bratnich Pomocy; musi bezkompromisowo, z całym poczuciem odpowiedzialności oceniać potrzeby kolegów, ustalać hierarchię potrzeb. Tylko harmonijne współdziałanie rządu, społeczeństwa i samej młodzieży pozwoli, przezwyciężając trudności gospodarcze, stworzyć młodzieży niezbędne do normalnych studiów warunki materialne.

JULIAN TREUTLER

Zastępca Sekretarza Generalnego

Naczelnej Organizacji Technicznej Rzeczypospolitej Polskiej

Przedłożony przez Sejmową Podkomisję Oświatową projekt ustawy ustala dotychczasowy tytuł naukowy inżyniera jako stopień zawodowy, który będzie mógł zdobyć każdy obywatel pracujący aktywnie w zawodzie technicznym, rolniczym, leśnym i ogrodniczym, w przeciwieństwie do czasów przedwojennych, w których obowiązywała ustawa w przedmiocie naukowego tytułu inżyniera z r. 1922, przeznaczona wyłącznie dla „elitarnych” kół spośród absolwentów szkół akademickich. Technik w średnim wykształceniu traktowany był przed wojną jako parias, któremu inżynier rzucał ledwo 2 palce podawać. W ustawie z r. 1922 istniał wprawdzie wywalczony przez techników art. 7, który teoretycznie umożliwiał absolwentom średnich szkół technicznych zdobycie tytułu naukowego inżyniera, ale przez siedemnaście lat istnienia tej ustawy tylko kilkunastu techników zostało dopuszczonych do egzaminu. Poszczególne Wydziały Szkół akademickich postępowały w tej sprawie dowolnie, według swego „widzimisie”, gdyż przez 17 lat istnienia ustawy nie ukazało się rozporządzenie wykonawcze, które by regulowało przepisami warunki dopuszczenia i program egzaminu. Zorganizowana klika inżynierów i profesorów Szkół akademickich pilnowała zadrzotnie i z całą bezwzględnością swojego uprzywilejowanego stanu. Do tytułu naukowego inżyniera przywiązane były bowiem uprawnienia, które dawały dobre dochody. Doszło do tego, że w r. 1928 klika ta przeprowadziła ustawę budowlaną ograniczającą prawo budowania w 14 miastach wyłącznym, którzy mieli średnie techniczne wykształcenie — jest to ustawa kagańcowa przeciw konstytucji. Istniała w Poznaniu Państwowa Szkoła Ogrodnicza o poziomie wyższym zawodowym postawiona bardzo wysoko, do której przyjmowano kandydatów po 6-ciu klasach gimnazjalnych. Nauka trwała 4 lata.

Po ukończeniu szkoły i przedłożeniu jedno-roczonej praktyki, przysługiwał tytuł ogrodnika dyplomowanego. Student tej Szko-

ły Ogrodniczej mieli indeksy akademickie i zapewnioną I kategorię urzędników w służbie państwowej. Mimo to absolwenci Szkoły nie byli dopuszczani do egzaminów inżynierskich przewidzianych ustawą z r. 1922 i dla uzyskania dyplomów inżynierskich musieli wyjeżdżać za granicę. Te stosunki przedwojenne na Wyższych Uczelniach akademickich częściowo trwały do dnia dzisiejszego. W Krakowie przy Akademii Górniczej zorganizowane zostały już po wojnie Wydziały Politechniczne. Wydział Architektury odrzuca wszystkie prośby techników budowlanych o dopuszczenie do egzaminu z art. 7 ustawy z r. 1922. Znaną są wypadki, że budowniczym z uprawnieniami i dużą praktyką, chcąc zdobyć prawo budowania w 14-tu wyłączonych miastach, zapisują się na studia na Wydział Architektury, mając ukończony kilkanaście lat temu Wydział Budowlany w Wyższej Szkole Przemysłowej w Krakowie. Muszą oni studiować na nowo od a, b, c. bez zaliczenia wyczerpanych już przedmiotów. Dzieje się to wszędzie w Państwie Ludowym. Nie są to sporadyczne wypadki stosowane na jednej tylko Uczelni Akademickiej. Dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Głiwickiej nie dopuścił do egzaminu technika absolwenta Wyższej Szkoły Przemysłowej w Bielsku, kierownika ruchu dużej fabryki włókienniczej, który przedłożył dobrze opracowaną pracę techniczną z zakresu swej specjalności. Petent czekał 8 miesięcy na odmowną odpowiedź. Ten sam dziekan odmówił wydania zezwolenia na używanie stopnia magistra petentowi, który złożył egzamin inżynierski z art. 7 ustawy z 1922 r. i otrzymał stopień akademickiego inżyniera mechanika. Taki stan niesprawiedliwości społecznej jest wysoce szkodliwy dla Państwa i najwyższy czas, aby z tym stanem skończyć. Przedłożony projekt ustawy o stopniu inżyniera przez Sejmową Podkomisję Oświatową naprawia krzywdy wyrządzone technikom ustawą z r. 1922 i reguluje nabywanie stopnia inżynierskiego w sposób najbardziej demokratyczny. Projekt ten daje pierwszeństwo tym osobom, które pracują aktywnie w wyuczonym zawodzie.

WACŁAW SZYMANOWSKI

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego

Państwo nasze z roku na rok podwyższa wydatki na oświatę. Dowodem tego jest także nowy preliminarz budżetowy na rok 1948. Wszystko to jednak nie wystarczy wobec ogromnych w tej dziedzinie potrzeb naszego kraju. Jaskrawym przykładem może być szkolnictwo powszechne na Dolnym Śląsku, gdzie 190.000 dzieci osadników i repatriantów ze wszystkich stron Polski i z zagranicy chce i może znaleźć miejsce w szkole. Na rok 1947 przyznano 4985 etatów nauczycielskich, jest już obsadzonych 5392, a potrzeba 6.000 etatów. W przedszkolach ten niedobór przedstawia się jeszcze gorzej: bo etatów przyznaczonych jest 370, a potrzeba przeszło 2 razy tyle t. j. około 800. W związku z tymi faktami, nasuwa się pytanie, czy wobec rosnących potrzeb całego szkolnictwa niższego, średniego i wyższego oraz konieczności rozwinięcia naprawde szerokiej akcji stypendialnej dla młodzieży celem przyspieszenia demokratyzacji naszych szkół nie trzeba sięgnąć do innych środków, aniżeli do zwyczajnych środków budżetowych. Czy nie trzeba zdecydować

się, pomimo trudności, na daninę czy podatek specjalny, wyłącznie dla celów oświatowych? Właśnie w dziedzinie oświaty demokracja ludowa musi i powinna przodować wśród innych narodów świata. Niedawno obchodziliśmy 30-lecie rocznice rewolucji listopadowej, tej przełomowej daty w walce ludzkości o wyzwolenie człowieka od wyzisku. Ale przypominamy sobie, że wielkie osiągnięcia w wyniku tej rewolucji byłyby niemożliwe bez niemal natychmiastowego i właściwego postawienia zagadnienia oświaty i nauki w Związku Radzieckim. A pamiętamy, że dokonano tego mimo zniszczeń kraju w wojnie domowej, mimo głodu i sabotażów. Jeżeli narody radzieckie zdobyły się na ten wysiłek, który dla ich dalszego rozwoju miał olbrzymie skutki i w wielkiej mierze przyczynił się do zwycięstwa w ostatniej wojnie, to i nasz naród, naród, który stworzył przecież pierwsze ministerstwo oświaty na świecie, musi się na taki wysiłek zdobyć. Wszelka dalsza zwłoka może nam przynieść trudne do odrobienia straty.

FAKTY I ZDANIA

Dobre rady???

W momencie, gdy w ciężkiej powojennej sytuacji jedną z najpilniejszych dla Polski Ludowej spraw jest możliwie jak najszybsze zaspokojenie potrzeb materialnych społeczeństwa, gdy dla poprawienia sytuacji ekonomicznej kraju wprowadza się w życie trzyletni plan gospodarczy, gdy centralnym zagadnieniem narodu jest dzisiaj uprzemysłowienie kraju, gdy cieszymy się jako sukcesem narodowym każdym puszczonym w ruch zakładem przemysłowym, gdy z napięciem obserwujemy wskaźniki naszej produkcji, gdy robotnicy kopalni, hut i zakładów włókienniczych rzucają sobie wyzwania do wyścigu pracy, by było więcej węgla, więcej maszyn, więcej odzieży — w tym historycznym momencie na łamach „Tygodnika Warszawskiego” (Nr. 47) Józef Marian Świąciecki w artykule „O syntezę cywilizacji naturalnej i technokratycznej” wygłasza pochwałę „naturyzmu”.

Wprawdzie nie określa on bliżej czytelnikowi co to są „nieprzemijające wartości naturyzmu”, jednak ze swojego zachwytu dla wcześniejszych epok cywilizacyjnych każe się domyślać, gdzie należy szukać ich źródeł — ustrój patriarchalny, osiadły tryb życia oto warunki sprzyjające ujawnieniu się „rzetelnego człowieczeństwa”. Zbyt szybki rozwój industrializmu niszczy właśnie to „rzetelne człowieczeństwo”; autor nie omieszkał również wydobyć z lamusa starego argumentu, że rozwój maszynizmu zagraża osobowości, że na skutek „bezdusznej pracy” osobowość ulega „niebezpiecznemu dla zdrowia psychiki procesowi automatyzacji”. Stąd polityczny wniosek autora: należy włączyć w obronę jednostki „przed uroszczeniami współczesnego państwa, które skupia w swoim ręku przy technokratycznym ustroju niebywałą potęgę techniczną i organizacyjną”.

Grupa społeczna, którą należy chronić przed zgubnymi wpływami cywilizacji technicznej jest przede wszystkim wieś. „Rozumna polityka społeczna winna iść w kierunku pielęgnowania wartości naturalnych nie tylko przez ochronę regionalizmu, ale przez szczególną opiekę, której rozwój winien się oprzeć na zdrowych podśwawach: na licznej rodzinie i na drobnej, ale wystarczającej do utrzymania i do przyszłego życia rodziny, własności”. Autor idzie dalej — bierze w obronę i robotnika i jemu zaleca „osiadły i rolniczy tryb życia”, uważając, że decentralizacja przemysłu, tworzenie samowystarczalnych warsztatów różnych uchroni go od koszarowego stylu życia, który narzuca wielki przemysł.

Oto „dobre rady” dla narodu, który pragnie osiągnąć niezależność gospodarczą; Józef Marian Świąciecki nie zastanawiał się nad tym, że pod jego „dobrymi radami” podpiszą się obłama rekami zachodnie państwa kapitalistyczne, które chętnie by Polskę i inne kraje słowiańskie widziały krajami „osiadłymi i rolniczymi”. Publicysta „Tygodnika Warszawskiego” nie zechciał wziąć pod uwagę, że cywilizacja techniczna inaczej może być „użyta” w państwie, kierującym się zasadami gospodarki uspołecznionej, że w tym wypadku służy ona całemu społeczeństwu. Wieś polska również nie ma najmniejszej ochoty na pójście za wskazówkami Józefa Mariana Świącieckiego — regionalizm i gospodarka naturalna już jej nie wystarczają. W dzisiejszej rzeczywistości przyjmuje ona wszystkie zdobycze cywilizacyjne; chłop nie czuje, że jego osobowość na tym traci, gdy orze on traktorem, lub młoci przy pomocy motoru elektrycznego. Swojej indywidualnej gospodarce nadaje on wyższą funkcję społeczną przez włączenie swego warsztatu rolnego w system produkcji branżowej. Wieś nie chce być, jakby sobie tego życzył Józef Marian Świąciecki, rezerwatem dla pielęgnowania „naturalnego stylu życia”, nigdy jej nie odpowiadało „rzetelne człowieczeństwo” kurnych chał, nędzy i ciemnoty.

Leonard Sebierański

Plotki o duchach

„Nowiny Literackie” stanowią dziś dość niepokojący w Polsce typ czasopisma literackiego. Konia z rzedem temu, kto na podstawie 35 numerów orientuje się w ideowym programie pisma. Linia polityki kulturalnej „Nowin” to linia „eklektyzmu na poziomie”. Na zawartość pisma składają się nowinki ze światka literackiego i wspominki z dobrych przedwojennych czasów. Charakter ploteczek w stylu „co w trawie piszczy” posiadają też zagraniczne kroniki kulturalne.

W Nr 35 „Nowin Literackich” p. Jadwiga Żylińska podaje sensacyjne informacje na temat noweli angielskiej, („The Demon Lover”). Chodzi o ducha.

Punktem wyjścia jest zbiór nowel Elizabeth Bowen pt. „Upiorny Kochanek”. Nie znam twórczości Elizabeth Bowen, a na podstawie tematyki trudno jest ferować wyroki o wartości artystycznej nowel, choć musi zastrzec ich sentymentalno-sensacyjny charakter — „dziwna historia”, „Odziedziczona Zegara”, „romantyczna i piękna” opowieść o pieśniach śpiewanych przez ojca, liczne historie o duchach — m. in. ów „Upiorny Kochanek”.

Przeraza jednak bezmyślność, z jaką p. Żylińska sproblematyzowała ten zbiorek na użytek polskich czytelników.

Z tajemniczych względów dochodzi do wniosku, że „na szczególną uwagę zasługują historie o duchach” i szescza w sensacyjnym tonie historie o kochanku-upiornym, uprowadzającym niewianną w londyńskiej tak-

sówce, cytując mrozące krew w żyłach „kałki”.

Z bogatej problematyki ciekawej twórczości nowelistycznej w Anglii uznała więc p. Żylińska za najciekawsze dla czytelników polskich historyjki tego typu. Niewątpliwie — może to być godnym zastanowienia przykładem odżywiania we współczesnej literaturze angielskiej romantycznego schematu historii o kochance porwanej przez ducha (choćby Niemcewiczowska przeróbka z angielskiego „Alonzo i Helena”). Nie można tego jednak interpretować w taki sposób, jak czyni to autorka artykułiku. Skrzętnie zbiera przykłady „powszechnej u Anglo-Sasów wiary w duchy” oraz stwierdza, że w nowelach „pisarzy pochodzenia celtyckiego po prostu roi się od widm i upiorów”. Nic dziwnego, że w tych warunkach kryterium rasy narzucało się jako czynnik wyjaśniający to zjawisko literackie; autorka wnioskuję, że żywość zainteresowań spirytystycznych w Anglii jest rezultatem braku właściwej religijności — „poczucia metafizycznego sensu istnienia”.

Oto skutki — Anglicy nie wierzą w Boga — a zatem muszą wierzyć w upiory.

Artykuł Żylińskiej jako notatka informująca o noweliście angielskiej, czy nawet szczegółowej o twórczości Elizabeth Bowen, jest pozbawiona wszelkiej wartości — może najwyżej dostarczyć emocji pensjonarkom. Tłumaczenie zaś obserwowanych zjawisk roi się o psychologizmo-rasistowskich bredni.

Czytelnikowi, poszukującemu choćby najogólniejszych informacji o współczesnym życiu literackim zagranicą, plotki o duchach i metafizyczna interpretacja literatury nie przyniosą najmniejszego pożytku.

Maria Miśkiewicz

Piętami naprzód

W „Miesięczniku Ludowym” ukazała się recepta Józefa Bieńka na nowe pismo literackie.

Zdaniem Bieńka brak nam dziś pisma literackiego dla mas i dla literatów początkujących i samorodnych. Brak pisma naprawdę bezklasowego, które byłoby jednocześnie naprawdę demokratyczne.

Autor recepty na nowe pismo literackie zapominał, że my jeszcze nie żyjemy w społeczeństwie bezklasowym. Gdyby nawet powstało takie nowe pismo literackie — demokratyczne, to pisać do niego nie będą Niemcy i demokraciami. To znaczy nie mogą pisać tylko o tym, jak to „różni brzoż wicher malują”, jak się „mój cień w kieszeni” lub, jak się gwiazdy koszem łowi, ale musieli by pisać nieco i o tym, co się dzieje na świecie. Jeżeli pisarz tego nowego pisma będzie demokratą — musi zająć wyraźne stanowisko po tej stronie barykady, gdzie walczą o demokrację. Pomiędzy nami są jeszcze ludzie, którym się zdaje, że można być nie z kimś i nie przeciwko komuś.

Gdy nie mamy jeszcze społeczeństwa bezklasowego, gdy walka na białą broń gospodarczą i polityczną wre wszędzie, jakżeż możemy być pisarzami demokratycznymi i nie orientując się w grze i w znaczeniu sił społecznych na świecie?

Nie jestem seklarzem i nie twierdzę, że oprócz „Wsi”, „Odrodzenia”, „Kuznicy” i „Nowin Literackich” już więcej nam pism nie potrzeba. Ale nie można być dziś pisarzem prawdziwie i w nowoczesnym pojęciu — ludowym, jeśli się siedzi, jakby za piecem w jakimś piśmku bezinteresownym, obojętnym na to, o co świat walczy.

Gdyby nawet powstało pismo literackie masowe z recepty ob. Bieńka a także Juliana Przybosa, będąc jego pierwszym czytelnikiem, ale pod warunkiem, że nie będzie ono, jakby chciał ob. Bieńek bezstronne, bezklasowe i apolityczne.

Seweryn Skulski

Humanizm

Fakty, podane przez Adama Polewkę na zjeździe Z. Z. L. P.:

Jeden z dostojników watykańskich oświadczył, że chciałby, żeby w Polsce religia była prześladowana, gdyż byłoby to doskonałym atutem propagandowym w ręku Watykanu.

Jeden z biskupów polskich, biorących udział w obradach episkopatu na Jasnej Górze, podał z ambony „nieulegający wątpliwości” fakt, że w szkołach polskich bije się dzieci, gdy te życzą sobie odmawiania pacierz.

Ten sam biskup wygłosił kazanie demonstrowanie po angielsku. A równocześnie czytamy w Tygodniku Warszawskim, nr. 46:

„Spieszmy uspokoić kogo należy, że ze stanowiska naszego niezależnej opinii katolickiej jesteśmy przeciwni wciąganu kościoła do rozgrywek politycznych”.

W. J.

Zabezpieczenie — czego?

Podaje tekst ulotki kolportowanej wśród studentów na Uniwersytecie Łódzkim. Podkreślenia — moje:

„Nie niszczyć — daj wierzącemu(cy) Koledze (zance)!”

LIST OTWARTY

do P.T. Studenta(ki) Katolika(czki)

W ŁÓDZI

Wobec widocznych braków i niedostatków są dwie postawy. Jedni załamują ręce, narzekają i jęczą. Inni obliczają rzecz, biorą się do pracy i brakuje wartości wytwarzają.

Student(ka) zajmuje tylko postawę wytwarzania wartości.

Jest morze łez i narzekań szczerych lub obłudnych na brak pogłębienia katolicyzmu w Polsce, brak wiedzy religijnej, niedorozwój kultury katolickiej i t.p. Pomijając nawet przesady i nieścisłości tych zawodzeń

Łódź katolicka

nie lubiącą marnować słów, te jęki bezowocne już drażnią.

Łódź woli pracować!

Dlatego obliczwszy całą rzecz, stworzyła Łódź studencko-katolicka Studium Wyższej Wiedzy Religijnej, gdzie w szarej pracy wytwarza brakujące katolicyzmowi polskiemu wartości.

SWWR jest wyższą uczelnią. SWWR jest uczelnią kościelną o celach oświatowo-religijnych i dlatego podlega wyłącznie tylko Władzom Kościoła Katolickiego w Polsce.

Wykłady SWWR odbywają się zasadniczo wieczorem od godz. 19.30 do godz. 21.15 (z przerwą 10 min. w środku), kursu 1-go w poniedziałki i środy, kursu 2-go we wtorki i piątki, pro — i seminaria są zasadniczo w czwartki (możliwość zmian zależnie od warunków).

SWWR jest uczelnią 3-letnią (6 semestrów), odbywać jednak kolokwia i zdobywać zaliczenia przestudowanych semestrów można w cięt 5-ciu od chwili zapisania się na Słuchacza SWWR.

SWWR daje określone Statutem uprawnienia w środowisku katolickim.

Korzyści duchowo-religijne z ukończenia SWWR są następujące:

- spełnienie religijnego obowiązku stanu inteligenta,
- metodyczne pogłębienie osobistej religijności na jej odcinku umysłowym,
- zabezpieczenie wiary własnej przed kontrargumentami przedstawionymi metodą naukową,
- dopełnienie własnego wykształcenia uniwersyteckiego na najwyższym odcinku światopoglądowym,
- udział w przewyższaniu niedorozwoju katolicyzmu polskiego pod względem pogłębienia rozumowo-naukowego oraz pod względem ścisłości i rozległości poglądów.

Zwracamy uwagę, iż za kilka lat inteligent-katolik, nie mający ukończonego SWWR, będzie się musiał wstydić wobec swoich i obcych; nie będzie to też bez pewnych skutków dla życia. Na miarę bez treści już jest coraz mniej miejsca w katolicyzmie polskim.

Nie zważając nawet na ten wzgląd — rozszerzenie widoków myślowych, pogłębienie duchowe, satysfakcja wewnętrzna winny Cię nakłonić do zapisania się na Słuchacza(kę) SWWR.

Łódź, dn. 19 października 1947 r.”

Stanie inteligenta! Ubezpieczaj swoją wiarę przed kontrargumentami, zdobywaj określone Statutem uprawnienia w środowisku katolickim. Zapisuj się na dwugodzinne wykłady z 10 minutową przerwą w środku. Tylko... jakie właściwie wartości wytwarza SWWR? Z.S.

Wiciowa matematyka

Kiedy się czyta prasę wiciową, szczególnie Organ Naczelny Z.M.W.R.P. „Wici” można nabrać przekonania, że licząca pół miliona członków gromada, pracuje bardzo sprawnie w oparciu o sprężyste działające ogniwa organizacyjne, ciągnące się od Zarządu Głównego, poprzez wojewódzkie i powiatowe aż do gminnych kół.

W każdym prawie numerze „Wici” czytamy sprawozdania z pracy poszczególnych ośrodków, nierzadko nawet reportaże z terenu.

Byłem właśnie w „terenie” zaproszony przez jedno z kół powiatu łódzkiego.

W Domu Ludowym oglądałmy przedstawienie. Bardzo licznie zgromadzonej młodzieży chłopskiej pokazano na scenie „miłość dwojga serc z przeszłości”, po czym odbyła się zabawa, poprzedzona występem chóru, który odśpiewał: „Hej, do niebieskich powa...”

Ile wypitło wódki sprzedawanej w dużych ilościach — tego nie wiem. Nie wiem także, czy i kto kogo pobił. Zapamiętałem sobie natomiast rozmowę z Prezesem Koła.

Opowiedział mi on, że Koło reaktywowano w 1945 roku. Do połowy listopada 1947 roku wizytował Koło jedynie raz ktoś z Zarządu Wojewódzkiego. W tym czasie nie otrzymano od władz wiciowych ani jednego instruktorstwa wiciowego. Nie dano żadnych materiałów do pracy, nie przyjechał także nikt z odczytem. Do tej pory nikt z członków Koła nie przeszedł żadnego kursu przeszkoleniowego. Poza urządzaniem zabaw i przedstawieniami, urządziło Koło śpiewy chóralskie. Żadnej innej działalności nie prowadzi.

W Łodzi dowiedziałem się, że gościło mnie jedno z najlepszych Kół wiciowych województwa.

P. S. Ostatniej niedzieli odbyło się zebranie prezesów Kół „Wici” powiatu łódzkiego. Z 18 Kół przybyło 6 prezesów. Pierwszy punkt porządku dziennego poświęcony był sprawie urządzania zabaw i przedstawień. Z kolei wybrano delegatów do Powiatowej Rady Narodowej i Wydziału Oświaty Rolniczej. Dopiero przy końcu zebrania i po dwu-

latach istnienia organizacji zastanawiano się nad potrzebą zaangażowania inspektora świetlicowego, który mógłby organizować i lustrować pracę ośrodków gminnych. Zgodzono się na niedzielne zebranie, że jak dotąd — nie wiele zrobiono. Ktoś zwrócił uwagę, że np. Z.W.M. zobowiązuje swoich członków do pracy. Odpowiadano sobie, że „Wici” mają tę niezwykłą zaletę, iż są organizacją dobrowolną, w której członków do niczego się nie musi zmuszać. Podstawowym założeniem deklaracji ideowej „Wici” jest: przeciw — wolność i godność orającego człowieka.

Kiedy opowiedziałem to wszystko jednemu z kolegów, zainteresowanych bezpośrednio ruchem wiciowym — spytał mnie: „to jeszcze o tym nie wiedziałeś?”

A no nie wiedziałem, ale już wiem.

Piotr Pigwa

Gazety i książki

Zagadnienie czytelnictwa na wsi jest rzeczą tak ważną, że nigdy nie jest za dużo mówić, ani pisać o tym. Gdyby chodziło tylko o techniczne rozwiązanie dostarczania dla czytelników wiejskich książek czy gazety, to może nie byłoby to — zbyt trudne, ale rozpowszechnić czytelnictwo, to przewyżczyłoby w psychice chłopca obojętność do słowa pisanego.

I dlatego, chcąc rozpowszechnić na wsi przyzwyczajenie do czytania, trzeba akcją tą pokierować w ten sposób, żeby książka lub gazeta znajdowała się w miejscu, gdzie interesy gospodarcze i towarzyskie chłopca się skupiają.

Punktami takimi na wsiach są spółdzielnie, a wiemy doskonale, że w tej chwili sieć ich jest dość gęsta. Gdybyśmy chcieli rozpowszechnić czytelnictwo poprzez specjalnych kolporterów, to spotkamy się prawdopodobnie z trudnościami wyszukania ich, ze względu na nieopłacalność pracy. Organizowanie specjalnych kiosków po wsiach spotkać się może z trudnościami podobnej natury. Mój projekt jest taki: ażeby gazety i książki znalazły się w spółdzielni tak samo, jak każdy inny towar w handlu, przez co będą zawsze na oczach kupujących.

Zrozumiałe jest, że częste stykanie się z gazetą przyciąga człowieka do czytania, co z biegiem czasu wzbudzi stałe zainteresowanie gazetą i w dalszym etapie — książką.

Czytelnictwo książek może być rozpowszechniane tylko przez zorganizowaną, gęstą sieć bibliotek. Stawiam projekt, ażeby spośród podanych przez dyskusantów „Wsi” sposobów rozpowszechniania czytelnictwa na wsi, wybrać parę i przeprowadzić próby praktycznie na terenie gmin i powiatów.

M. Janicki

POSZUKUJEMY KANDYDATÓW NA KOLPORTERÓW

OBJAZDOWYCH (GMINNYCH) DO ROZSPRZEDAŻY CZASOPISM I BROSZUR na warunkach komisowych

Prowizja wynosi 30% od cen nominalnych wydawnictw. Kolporterzy należycie wywiązujący się ze swych obowiązków otrzymują za naszym pośrednictwem zezwolenia na sprzedaż wyrobów Polskiego Monopolu Tytoniowego.

Kandydaci mogą zgłaszać się listownie pod adresem: Dział Wydawniczy Z. S. Ch. Warszawa, pl. Starynkiewicza 7/9.

KSIAZKI NADESŁANE DO REDAKCJI SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. WIEDZA:

Pola Gojawczyńska — Ziemia Elżbiety, wyd. trzecie, str. 204;
Anatol Winogradow — Potępienie Paganniego, przełożył Włodzisław Słobodnik, str. 462;

Charles Kingsley — Na podbój świata, przełożyła Zofia Popławska, str. 279;

R. Kipling — Księga Dżungli, str. 201;

Andrzej Strug — Ludzie podziemni, str. 214;

Balzac — Historia wielkości i upadku Cezara Brotteau, str. 329;

Fannie Hurst — Imitacja życia, powieść, str. 403;

Emil Zola — Germinal t. I, str. 259, t. II str. 183.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskie.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiś”. Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Konto PKO Łódź VII — 1080.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” Łódź, ul. Żwirki 2.

D — 018597